MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 18 WARSZAWA, 1 MAJA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZAGADNIENIE WŁADZY W POLSCE

DLACZEGO w Polsce kwestja władzy jest do rozwiązania trudniejsza, niż gdzieindziej? Zagadnienie to w Polsce jest kwestją bardzo starą. W historji naszej mieliśmy długie okresy, w których władza była nienależycie zorganizowana i słaba. Było to jedną z przyczyn upadku naszego Państwa. To, co w historji przeszliśmy i co się w psychologji naszej przez wieki utrwalało, odbija się dziś w odrodzonej Polsce w sposób zatrważający. Należałoby przejść myślą całe dzieje, aby wskazać początki tych niedomagań, na które dzisiaj cierpimy. Tradycji tych odległych czasów, w których zagadnienie władzy w Polsce należycie było postawione, właściwie nie mamy. To, co podświadomie utrzymuje się w pamięci żyjących, sięga okresów, które dodatnich wskazówek nam dać nie mogły. W ciągu bowiem kilku stuleci przedrozbiorowych, nie tylko w okresie niewoli, władza polska właściwie już nie istniała. Pozostało nam z tych czasów w pamięci wiele rzeczy, które dziś właściwą orjentację nam utrudniają.

Trzeba sobie uprzytomnić, że Polacy wytworzyli pojęcie narodu i zorganizowali się jako naród wpierw, niż jakiekolwiek inne państwo. Narodem był wówczas stan szlachecki, a ustrój jego był demokratyczny. Władza w tej organizacji była demokratycznie rozproszkowana. Wiele się mówi o tem, że byliśmy narodem arystokratycznym. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Mieliśmy ustrój szeroko demokratyczny.

Trzeba też pamiętać, że właśnie owa demokratyczna cecha naszego ustroju, powodująca rozproszkowanie władzy i znikomość jej ośrodków, nie pozwoliła nam w ciągu ostatnich stuleci spełnić naszych zadań historyczno-politycznych i utrzymać się na linji własnego interesu narodowego, w konsekwencji zaś doprowadziła do rozbiorów.

Demokratyczna słabość władzy w Polsce przedrozbiorowej wytworzyła w narodzie polskim specyficzną cechę ustroju: odpowiedzialność za losy całego państwa spadała na obywatela. Zasadniczo nie byłaby to właściwość ujemna. To przeniesienie punktu ciężkości na jednostkę pozwoliło nam zwycięsko przetrwać czasy niewoli. Ale w państwie niepodległem, w którem musi istnieć władza, fakt ten powoduje częstokroć objawy niepożądane. Mamy w historji liczne tego dowody. Niezawsze ochotnicza korektywa, idąca z pomocą władzy państwowej z własnego popędu, bywała zbawienna; często była to pomoc problematyczna. Przypomnijmy sobie konfederacje, tak często w Polsce praktykowane; bywały pożyteczne, ale były i takie, które organizację władzy niweczyły i które przeszkadzały Rzplitej kroczyć po linjach wytycznych jej polityki narodowej. Takie momenty ustrojowe, oparte na poczuciu, że każdy zrobi lepiej i że każdy do ratowania państwa jest powołany, utkwiły w naszej psychice i dziś gmatwają sytuację. Przejdźmy jednak do kwestji zasadniczej. Jakże powinno być rozstrzygnięte zagadnienie władzy? Gdzie leży jej źródło?

Dawniej źródłem władzy był absolutny monarcha, była dynastja. Tam, gdzie panował absolutyzm, pomimo takich, czy innych jego ograniczeń, istniała skoncentrowana w jednym ręku władza, która określała politykę na dalszą przyszłość. Kiedy znikły dynastje i nastała era konstytucjonalizmu, wtedy źródło władzy przeniosło się d o n a r o d u. W obowiązującej u nas Konstytucji wprost mówi się o tem, że władza spoczywa w narodzie. Terminu „władza" używam tu w znaczeniu szerszem, któremu odpowiada określenie francuskie „*souverainete*", a po polsku „udzielność", „zwierzchnictwo". Jest to ta władza, która jest twórcą czynów historycznych. Jakiż jej stosunek do narodu?

Co to jest naród? Czy narodem jest ogół mieszkańców kraju, ściślej obywateli? Niewątpliwie nie. Wprawdzie jesteśmy w epoce, w której państwa są już i mogą

być tylko narodowe, ale wszędzie, w każdem państwie istnieją elementy, które do narodu nie należą. By to zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że naród jest pojęciem wyższem od sumy jednostek, jest organizmem historyczno-politycznym, który ma swoje własne zadania i tworzy historję własną od początku swego istnienia. Niema narodu, któryby nie przeszedł przez historję własną. Te społeczności, które nie przeszły przez swą własną historję, nie są narodami.

Spotykamy się nieraz z próbami tych czy innych plemion uczynienia z siebie narodu. Na to jednak, by zostać narodem, nie wystarczy chcieć. Dopiero, gdy społeczność przejdzie przez probierz czynu historycznego i potrafi trwale utrzymać niepodległość w ciągu szeregu pokoleń — wtedy staje się narodem. Nie można też z pojęciem narodu utożsamiać ogółu obywateli danego państwa. Tak samo nie można identyfikować pojęcia narodu z pojęciem ogółu rozmaitych grup etnicznych w państwie. Skoro władza należy do narodu, to należy ona oczywiście do tego narodu, który posiada państwo. To też w państwie polskiem władza należy do narodu polskiego. Jest to zupełnie jasne.

Naród polski zatem, to nie jest suma wszystkich mieszkańców w państwie, to nie ogół obywateli. Naród polski, — to ogół tych obywateli, którzy mają w sobie ideę polską i chęć służenia Polsce w jej historycznym pochodzie po drogach jej narodowego interesu. W tem pojęciu naród polski nie jest ani organizacją etniczną, ani językową, ani wyznaniową. I to jest bardzo ważne zastrzeżenie. Do narodu polskiego w jego pojęciu wyższem, tem, które daje mu prawo piastowania władzy, mogą być zaliczeni nie tylko ci, co są polskiego pochodzenia etnicznego, ale wszyscy, którzy duchowo i historycznie z ideą Polski są związani.

Jak ta koncepcja filozoficzna wygląda praktycznie? Jak ją pogodzić z dzisiejszą rzeczywistością, jak ją ująć w ramy organizacyjne form państwowych? Mamy dziś w państwie Konstytucję, która stworzona została nie tyle z myślą odpowiedniego urządzenia państwa na wewnątrz, ile z chęcią osiągnięcia szczytu „postępowości“ i demokratyzmu. Pod tym względem cel w zupełności został osiągnięty. Jesteśmy w posiadaniu Konstytucji ultra-demokratycznej. Zadziwiliśmy nią świat, ale wątpliwą jest rzeczą, czyśmy Polskę uszczęśliwili. Według naszej Konstytucji wszyscy obywatele w państwie są równi. Jak to pogodzić z pojęciem, że tylko narodowi polskiemu, jak wyżej określiłem, przysługuje władza decydowania o losach państwa narodowego. Wydaje się to trudne. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że jeśli państwo narodowe chce mieć możność prowadzenia historji zgodnie z tem, co ma do spełnienia, jeśli polityka tego państwa ma iść po linji interesu narodowego, to innego wyjścia niema. Jest to zadanie trudne, ale są państwa narodowe, które tę zasadę zrealizowały logicznie i praktycznie. We Włoszech stało się to, co właśnie jest logicznem zrealizowaniem nowoczesnych pojęć o państwie i narodzie. We Włoszech dziś naród włoski władzę piastuje, on jeden ma prawo decydować o losach Italji.

Jakże karykaturalnie wygląda w tem oświetleniu to wszystko, co tak często mówi się o polityce mniejszościowej, o prawach mniejszości do wspólnego decydowania o losach państwa. Dążenie do ugruntowania t. zw. „polityki mniejszościowej“ idzie nie w kierunku ugruntowania władzy w państwie, ale w kierunku jej osłabienia, zdezorganizowania i niedopuszczenia do tego, by państwo mogło swą myśl historyczną w czyn wprowadzać.

Wielu mamy w Polsce ludzi, którzy świadomie, lub nieświadomie, oburzają się, przeklinają lub wyśmiewają „nacjonalizm“, „ruch narodowy“, „politykę narodową“ etc. Wytworzono słownik epitetów, któremi chętnie się to wszystko piętnuje. Nie rozumie się tylko jednego, że nacjonalizm jest logicznym i nieuniknionym następstwem przesunięcia się źródła władzy do narodu.

Na powagę władzy w państwach czyha dziś wiele bardzo niebezpieczeństw. Prowadzona jest na świecie całym usilna robota, by osłabić i zniszczyć pojęcie suwerenności państw. Na to trzeba przedewszystkiem unicestwić władzę, która leży w narodzie. Dalej zatrzeć trzeba znaczenie granic terytorjalnych i wysunąć na czoło t. zw. „solidaryzm państwowy“. W tym kierunku rozwija się dziś wytężoną akcję. Jeśli zrealizowanie nawet częściowe tych prądów odbija się katastrofalnie na państwach i narodach starych, zorganizowanych i silnych, to w jakiem niebezpieczeństwie są dziś państwa i narody z tych czy innych względów słabe, nie dość jeszcze mocno zorganizowane? Gdy mowa o Polsce, to instynkt nas ostrzega, że tylko wtedy będzie ona zdolna do poprowadzenia własnej, zgodnej z historycznemi drogami polityki, jeśli zapanuje w niej idea t. zw. „obozu narodowego“. A zwycięstwo takie, to nic innego, jeno ugruntowanie władzy w narodzie.

Nie chcę przesądzać, jak to się praktycznie dokona. Chcę tylko stwierdzić, że do tego dojść musi. Jeśli Polska nie ma być tak, jak było już oddawna, tylko przedmiotem cudzej polityki, lecz jeśli ma stać się podmiotem polityki własnej, to nikt inny, tylko naród polski musi w Polsce mieć władzę. Doszliśmy do niepodległości dlatego, że potrafiliśmy wyzwolić naszą myśl polityczną z pod wpływów obcych i stworzyć własną, narodową politykę. To nas zaprowadziło na Kongres Wersalski.

Trzeba raz wreszcie zrozumieć, że program władzy narodowej, to nie jest program „prawicy“, „narodowców“, „endeków“, czy „konserwatystów“; jest to program narodu polskiego. Operowanie w tych rzeczach pojęciami partyj tworzy tylko bałamuctwa. Program stawiany przez obóz narodowy ma tę specyficzną właściwość, różniącą go od innych programów partyjnych, że jest programem narodu polskiego, który ma prawo i musi mieć władzę w swem państwie.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

SKRZYDŁA I PĘTA DUCHA POLSKIEGO

NASZA BIERNOŚĆ

MAŁO kto tak pięknie i górnie wyraził się o naszym charakterze narodowym, jak historyk francuski Michelet, gdy kreśląc portret Kościuszki, zastanawiał się nad wyrazem jego oczu. Dostrzegł w nich oprócz iskier dzielności i zapału — dziwną łagodność. Zdaniem Micheleta Kościuszko nie różnił się pod tym względem i od innych bohaterów polskich, którzy byli jakby „świętymi". Na dowód przytacza zdanie Turków, którzy doznawali nieraz dotkliwych ciosów polskiej karabeli, — a jednak zauważyli u Polaków „wrodzoną łagodność i czułość" i stąd zwali ich „gołębim narodem"...

Nie tylko Turcy, ale i europejczycy dziwili się w XVI i XVII wieku, że naród wojowniczy, który przywykł do krwawych rozpraw na kresach, a jednak jeśli chodziło o sprawy wewnętrzne, a głównie o spory wyznaniowe — to był dziwnie łagodny i „gołębi". Gdy zagranicą toczyły się trzydziestoletnie wojny religijne, gdy lały się rzeki krwi ludzkiej, podnoszono w Europie z uznaniem polską tolerancję i łagodność, dziwowano się, że w granicach naszej Rzplitej sąsiadowali ze sobą: katolik, prawosławny, luter, kalwin, arjanin, muzułmanin, żyd. Na widok tej sielanki w Europie mówiono „*dulcis est sanguis Palonorum*" — „łagodna jest krew Polaków".

Nuncjusz papieski widząc, że pomimo niezgodnej elekcji w r. 1576, nie doszło jednak w Polsce do wojny domowej, tłumaczy to tem, że łagodny naród polski nie da się absolutnie porwać do walk bratobójczych, gdyż jak sami Polacy (za wzorem Bony!) mówią o sobie, mają „*sangue troppo freddo fatto di pivvo*" (krew za zimna wytworzona z piwa) [1]).

Niektórzy jednak żarliwsi katolicy tłumaczyli tę polskę tolerancję w ten sposób, że naogół jesteśmy powierzchowni, że brak nam silnego, własnego wyrobionego przekonania, prawdziwie głębokiej wiary, że nie przywiązujemy się gorąco do pewnego dogmatu, gdyż do niego nie doszliśmy samodzielnie i dlatego nie kochamy tego adoptowanego dziecięcia tak jak własnego.

Stąd książe Niwerneński, gorliwy katolik, mówi w r. 1574, że kiedy w XVI w. pytano Polaków o wyznanie wiary, odpowiadali, że wierzą w to, w co wierzy ktoś inny, czyli przez to dawali świadectwo, że własnego przekonania nie posiadają.

A więc pod pokrywką tolerancji kryć się miała tylko nasza niestałość [2]) przekonań, zmienność — a przedewszystkiem lenistwo ducha. Przypomina to uwagi Romana Dmowskiego, który w wspomnianej książce „Myśli nowoczesnego Polaka" — wszystko to, cośmy dotąd nazywali tolerancją, humanitaryzmem, wspaniałomyślnością, bezinteresownością, nazwał gnuśnością i lenistwem. Jego zdaniem bowiem podstawą naszego charakteru — jest przedewszystkiem bierność. Główna nasza wada, że byliśmy bierni. Czy nie dlatego, jak to ujął Szujski, że byliśmy „młodsi cywilizacyjnie"? Odkąd przywalił nas w zaraniu naszych dziejów ogrom zachodniej kultury, odtąd nie tworzymy nic własnego, ale zapożyczamy wszystko z zachodu. Nie inaczej mówi w swej „Legendzie" Stan. Brzozowski, kiedy pomstuje na sielankowy, „rdzennie polski intelekt", zanik mężnej, odpowiedzialnej woli, naszą „taflę zastoju" i bezwład.

Zdaniem Brzozowskiego nie chce się nam podjąć „twardego trudu zbiorowego", ale zlekka jak motyl przelatujemy z kwiatka na kwiatek i ssiemy słodycz „cudzą". Pewien różnowierca z w. XVI, widząc, że Polacy zmieniają szybko różne wyznania, są raz luteranami, potem kalwinami, a zaraz potem arjanami, idąc za każdym nowym podmuchem „mody" zachodu, tak napisał: „Polska nadzwyczaj chciwa jest nowości. Czy to bowiem zwróci się uwagę na sprawy ducha czy ciała, to Polska niczego niema, czegoby skądinąd nie wzięła. Gdyby np. każdy naród odebrał Polsce swoją modę strojów, to Polsce nic by nie zostało, w coby się mogła ubrać" (1565) [3]).

„Cudze więcej niż swoje miłujemy" (1564). „*Extera miramur, nostra abiicimus*" „Polak do uczynności, do ludzkości bardzo skory a dobrotliwy i gościnny tak, że nieznajomych i cudzoziemców nie tylko rad w swym domu gości, ale ich nawet do siebie zaprasza i gotów im świadczyć wszelkie usługi"... [4]).

Czy to umiłowanie rzeczy obcych, czy ta gościnność, miękkość, łagodność, tolerancja nie otworzyła nazbyt na oścież bram naszego kraju dla powrotnych fal Żydów i Niemców? Czy ten brak odporności względem cudzoziemczyzny nie podkopał naszych własnych miast?

Zachłanność Polaków na obce towary była przysłowiowa. „Kocha się, jak Polak w obczyźnie" — mówi nasze własne przysłowie. W XVI w. tak kochaliśmy się we wszystkich wyrobach włoskich, że jak pisze Bielski „by jedno rzekł włoski, by się też nań zastawić, kupi naród polski". A włoskie przysłowie mówiło: „*Fa viaggio alla Palacca*" t. j. „podróżuje po polsku", to znaczy trwoni pieniądze, kupuje wszystko, co kto mu podsunie, daje się oszukiwać. Pewien cudzoziemiec zauważa przytem, że polska rozrzutność jest szkodliwsza, niż inne: podczas gdy bowiem rozrzutnik angielski kupuje wszystko w Anglji, to rozrzutnik polski wyrzuca pieniądze poza granice kraju, bo przemysł polski nie istnieje [5]). Podobnie pewien Anglik Morison podróżując po Polsce 1593 r. dostrzega, że Polacy „bogactw wielkich nie posiadają, gdyż obracają je na zakup towarów obcych z daleka sprowadzanych i dlatego drogich" [6]).

Wielkopański ton okrywał pogardą wszystko, co pachło się łokciem i wagą, wszelką rachunkowość i drobiazgowość mieszczańską, strącał do błota poniżenia swojski handel i przemysł. Imponowało nam wszystko, co obce, nie mieliśmy zaufania do własnych wytworów. Wszak i dziś kupiec nasz musi się wysilać, aby dowieść kupującym, że dany towar jest — „zagraniczny".

Raz wraz wybieraliśmy na króla cudzoziemców (Wacław, Ludwik, Jadwiga, Jagiełło, Henryk, Stefan, Zygmunt III (pół-Szwed), Auguści). „Nasz przywarowy zwyczaj, iż my jako ubiorów i innych spraw cudzoziemskich używamy, tak i pana (króla) cudzoziemca przed swoim bardziej sobie smakujemy".

Polska, jak mówił Starowolski (Robak sumienia) to „*aurifodinae advenarum*" (kopalnia złota dla cudzoziemców). Fala za falą cudzoziemców wlewała się w nasze granice, przyjmowana zawsze z otwartemi ramiony przez miękkie i czułe i gościnne nasze serca. Fala za falą kolonistów niemieckich, fala za falą Żydów, aż wreszcie fale wojsk

---

[1]) W. Sobieski, „Polska a hugonoci". 181. Morawski „Nidecki" 212.

[2]) „Polacy prędko i łatwo zmieniają się, są niestali w przyjaźni... będac skłonnymi do zmian, żądają na każdym sejmie nowych praw... są niesłowni", „Bibl. warszaw." 1887. IV. 176, 17,8, 183.

[3]) Watschke „*Der Briefwechsel*" 195.

[4]) Bibl. pisarzy t. 11, 63. Jakób Górski (Ms. Czart. 1340, 57) Kromer *Polonia*.

[5]) „*Voyage en Pologne 1793 par un Livonien traduit de l'allemand*", *Bruxelles, 1807, I.*

[6]) „Przewod. nauk. liter." 1891 str. 510.

saskich, pruskich i rosyjskich zagościły się u nas wraz z rozbiorami już na—trwałe i następca Kościuszki po Maciejowicach, Naczelnik Wawrzecki dostrzegł, że upadek Polski nastąpił dlatego „żeśmy zawsze chcieli być cudzymi“ [7]). „Mają Polacy—pisze książe Niwerneński, towarzyszący Henrykowi Walezemu — takie złe o sobie wyobrażenie, że naśladują bezwłocznie to, co poznają u innych“ [8]). Podobnież pisze nunc. Ruggieri: „Lubo pojętni, nie wchodzą w głębsze poznanie rzeczy, łatwiej się uczą tego, co już odkryto, niżeli sobie zadają pracy, aby coś odkryć w naukach i sztukach i nie starają się przyjść w czem do doskonałości, może dlatego, że są oddani wygodnemu i wesołemu życiu. Rzemiosła są w Polsce też na bardzo niskim stopniu, bo Polacy używają po większej części samych rzemieślników niemieckich, których tylu do nich napłynęło, że w wielu miejscach nie usłyszysz innego języka tylko niemiecki“... [9]).

Wygodne życie, lenistwo — oto jeszcze jedna przywara, związana z tradycją pańską. Mówi nasze przysłowie „ja pan, ty pan, a kto będzie trzodę pasł“. Każdy chce być panem, pracę składa na barki innych. W roku 1672 notuje pewien podróżnik: „Naród polski jest wogóle niedbały i leniwy, który tylko najniezbędniejsze grunty uprawia. Stąd wynika, że większa część domów i kościołów zbudowana jest z drzewa. Niedbali też są chłopi...“ Mnóstwo widać żebraków [10]), miasteczka pełne błota, zaniedbane drogi—oto obrazki, jakie podają nam w swych notatkach z podróży cudzoziemcy, zwiedzający Polskę 1791 i 1793 (Liske). Przysłowiowe w całym świecie były polskie drogi, a przedewszystkiem dziurawe polskie mosty. Już w XV wieku osławiony był *„pons in Polonia“*, a potem powtarzano (r. 1671):

Polski most, niemiecki post,
Tureckie nabożeństwo,
Wszystko to razem błazeństwo... [11]).

Ten dziurawy most, to symbol braku w nas uspołecznienia. Niech sobie ktoś idący za nami złamie nogę, my nie zrobimy wysiłku, aby wymóc naprawy owej dziury w moście: „Jakoś to będzie“!

Ale jednak z tej bierności, gnuśności, z której szydzili Niemcy, zwąc ją osławionem mianem *„polnische wirtschaft“*, wyleczyła nas gruntownie sroga—niewola. Niewola nieraz „paczy“ charaktery, ale niektóre narowy też i leczy. Śród głodu, nędzy i prześladowań—XIX w. musieliśmy się zabrać do gorączkowej pracy, aby ratować swój byt — a przedewszystkiem — zachować w swych rękach ziemię. Niezwykle silne przywiązanie do tej ziemi, to była ta iskra, która miała Polaka odmienić, rozruszać, rozpalić. Ten niepokój o utratę ziemi, to niezwykłe do niej przywiązanie, które przenika każdego Polaka, uzbroiło włościanina poznańskiego w taką pracowitość i oszczędność, że w końcu zadał kłam niemieckiemu przysłowiu o *polnische wirtschaft* i obronił piastowską dzielnicę przed germanizacją. „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“— te słowa pieśni wyrażają to ukochanie świętej matki ziemi—tak wyróżniające nas np. od Żydów.

To samo przywiązanie do matki-ziemi tchnęło dużo energji w ziemianina polskiego na kresach, szczególnie od chwili, gdy rząd rosyjski zaczynał go z niej wypierać. Ono dodawało ostrogi, ono uskrzydliło ojców naszych, że już i w dawnych wiekach zwabieni czarno-ziemną glebą Podola i Ukrainy poszybowali daleko na wschód. Jeżeli nie bierność [12]), sielankowość, ale jakiś rozmach husarski cechuje naszą kolonizację na wschodzie, to niemałą rolę odgrywała ta gorączkowa pogoń ziemian—za ziemią. Gdy chodziło o tę czarną ziemię—znikała „gołębia łagodność“, a Turkom-najeźdźcom dawał się zaraz słyszeć złowrogi łopot skrzydeł husarskich, lecących pod — Chocim.

Na tle tego kresowego rozmachu, musimy przyznać, że tradycja szlachecka nietylko pozostawiła nam po sobie pęta pańskich narowów, ale też przekazała nam i ducha rycerskiego. Szlachcic, to rycerz, to wojownik: wprawił całą Polskę w pewien animusz i dzielność tak, że Polak stał się w końcu jednym z najbitniejszych, najdzielniejszych, najwaleczniejszych, za ojczyznę umierających żołnierzy. Niczego się nie boi—„Strachy na lachy“. Inne narody sposobniejsze są do dyplomacji, my do miecza:

Polak do korda
Włoch do akorda [13]).

Ale dziś już inne czasy, nie wystarczą skrzydła husarskie, ani sam pług. Wchodzimy w nową epokę wielkich miast, wielkich fabryk, elektryczności, benzyny. W epoce, w której królują aeroplany—a grożą gazy trujące,—skrzydła husarskie—to skrzydła—Ikara. Musimy porzucić dawne pańskie narowy, a nałożyć sobie na ręce szlachetne pęta drobiazgowości, punktualności, słowności, pracowistości, systematyczności, obowiązkowości, aby w wyścigu narodów nie pozostać na haniebnym—szarym końcu.

WACŁAW SOBIESKI

[7]) Korzon. Zamknięcie „Dziejów wewn“. 12, 33.
[8]) „Bibl. Warsz.“ 1887, IV, 181.
[9]) Rykaczewski. 127—8, 131. 169—170. To samo Marcin Kromer. *„Polonia“*.
[10]) Liske. 79, 96—107, 293, 276, 319. Konopczyński. „Encykl. Akad.“ II, 526—7. List poety Krasińskiego do ojca.
[11]) Jan Żabczyc. „Przysłowia Ms. Ossolin.“ (wiek XVII), porównaj Liske (Cudzoziemcy), str. 91. Podobnież 317. „Cóżby był Kraków na tem stracił, gdyby miał o 10 kościołów mniej, lecz za to mosty mniej nędzne“. Por. Wisłocki. *„Incunabula“*. 1900. 443.

[12]) Jest kwestją sporną, czy wschodnie kresy ukróciły naszą bierność, czy też rozpleniły. Balzer. Z zagadnień ustrojowych 1920, str. 126 podnosi, że Polska na kresach wschodnich przestała być bierną, że Litwę i Ruś gospodarczo i kulturalnie zdobyła, że nauczyła tamte ziemie tego, czego się sama na zachodzie nauczyła, że właśnie tym ziemiom narzuciła własny oryginalny parlamentaryzm, swoją szlacheckość, że Lwów i Wilno w tej misji cywilizacyjnej nie były biernemi wcale zerami. Właśnie na kresach urosła pewna nasza samodzielność. W obliczu ludów „kolonizowanych“ nabraliśmy zaufania w własne siły, umiłowaliśmy więcej własną mowę, słowem tam właśnie przestaliśmy być biernymi. Inaczej Dmowski: „Myśli“ 212, pos. 63.
[13]) Akord—układ, umowa,

NOWE STUDJA NAD TEATREM STANISŁAWOWSKIM

NIE mamy dotychczas całkowitej historji teatru staropolskiego: dzieło Stanisława Windakiewicza („Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej“) obejmuje dzieje naszego teatru w epoce odrodzenia, w wieku XVII i za Sasów; w epoce zaś Stanisława Augusta autor uwzględnił jedynie teatry prywatne, publiczny zaś, od którego, prawdę mówiąc, zaczyna się dopiero nieprzerwana historja naszej sceny, pominął. Miejmy nadzieję, że z czasem poświęci ten uczony teatrowi stanisławowskiemu osobną monografję, którą szczegółowo opracować będzie można dopiero teraz, a to dzięki świeżo wydanym materjałom i studjom.

Wydawnictwo to zawdzięczamy autorowi gruntownej pracy o pierwszej książce polskiej, Ludwikowi Bernackiemu, który z rzadką u nas wytrwałością i z podziwu godnym zapałem przez długi szereg lat pracuje nad lite-

raturą stanisławowską wogóle, a na poezją dramatyczną tej epoki w szczególności. Jego studjum o komedjach Zabłockiego, ogłoszone w „Pamiętniku Literackim" przed dwudziestu przeszło laty, było poprostu rewelacją, epoką w studjach nad komedją staropolską: okazało się, że komedje Zabłockiego, które tak długo uchodziły za oryginalne w pomysłach, są wprawdzie oryginalne — ale jedynie w stylu, w języku i w umiejętności nadawania zapożyczonym pomysłom narodowej barwy. Później od czasu do czasu, czy to w „Pamiętniku Literackim", czy też w czasopiśmie „*Exlibris*", ukazywały się różne inne przyczynki Bernackiego do historji dramatu i teatru za Stanisława Augusta, póki wreszcie w roku 1925 nie ukazały się we Lwowie dwa wielkie i wspaniale (przez zakład Ossolińskich) wydane tomy pod tytułem: „Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta". Tom pierwszy (stronic 476 wielkiej ósemki) obejmuje „źródła i materjały", drugi (stronic 444 oraz 68 podobizn — teatrów, portretów, afiszów i t. d.) — „notatki i studja".

Dużo zapewne czasu upłynie, zanim te wszystkie materjały będą naukowo opracowane. Tymczasem warto, żeby wiedział o tej księdze każdy, komu nie jest obojętna przeszłość naszej kultury duchowej.

„Ustalenie repertuaru utworów scenicznych, z któremi zetknęło się społeczeństwo polskie za czasów Stanisława Augusta, jest głównym celem niniejszej publikacji". W tych słowach sam autor scharakteryzował swoje dzieło — ale nieściśle: albowiem zawiera ono w sobie dużo, dużo więcej, aniżeli repertuar teatru stanisławowskiego, ustalony najszczegółowiej, jak sobie tylko wyobrazić można, na podstawie wielu źródeł, które autor, biorąc pod uwagę ich nadzwyczajną rzadkość, przytacza bądź w całej rozciągłości, bądź w wyjątkach (pomijając to tylko, co z głównym jego zamiarem nie ma nic wspólnego). A więc mamy tutaj takie źródło, jak wycinki z czasopism (polskich, francuskich, niemieckich), jak współczesne wykazy rękopiśmienne sztuk teatralnych, jak afisze Teatru Narodowego, jak „Krótka kronika teatru polskiego", skreślona przez Andrzeja Zalewskiego, jak materjały do historji przedstawień i uroczystości w teatrze w Łazienkach, i t. d. i t. d. Że, oprócz wydania tych źródeł, sporządził autor alfabetyczny repertuar utworów scenicznych od roku 1765 do 1794, że dodał do niego spis nazwisk autorów, że, krótko mówiąc, zrobił wszystko, ażeby ułatwić przyszłym badaczom studja naukowe, — to się samo przez się rozumie, o tem wiedział zgóry każdy, kto zna metodę naukową Bernackiego z innych jego prac.

Otóż to wszystko jeszcze nie wyczerpuje całego bogactwa „Teatru, dramatu i muzyki za Stanisława Augusta".

W tomie pierwszym mamy nadto trzy pisma księcia generała Czartoryskiego: przedmowę do komedji „Kawa", „List o dramatyce" oraz (przechowany w jednym jedynym egzemplarzu, badaczom dotychczas nieznanym) „Kalendarz teatrowy, dla powszechnej narodu polskiego przysługi, dany na rok przestępny 1780". Dla historji poetyki staropolskiej, mianowicie dla historji pojęć o teatrze i dramacie, wszystkie te trzy pisma są niemałej wagi.

W tomie drugim, oprócz studjów i notatek o „Kłopotach panów" Bohomolca, o jego „Nędzy uszczęśliwionej" (pierwszej operze polskiej), o „Pannie na wydaniu" Czartoryskiego, oprócz takiej ciekawostki, jak fragment „Juljusza Cezara" Szekspira we francuskim przekładzie króla Stanisława, oprócz ponownie opracowanego studjum o Szekspirze w Polsce do końca XVIII wieku, — szczególną wartość posiada znacznie rozszerzone, uzupełnione i poprawione studjum o komedjach Zabłockiego i o „Krakowiakach i Góralach" Bogusławskiego.

Źródła wielu komedyj Zabłockiego odkrył Bernacki już dawniej (we wspomnianej pracy); teraz przybyły zdobycze nowe, na których podstawie autor stwierdza, że „z 54 komedyj, które niewątpliwie wyszły z pod pióra Zabłockiego, 48 opiera się na obcych, głównie francuskich, pierwowzorach,... nie znamy jeszcze dokładnie źródeł sześciu komedyj, wiemy jednak napewno, że jedna z nich... jest przekładem z niemieckiego, dwie zaś... tłumaczeniem z francuskiego". „Sądzić należy—mówi dalej autor — że pozostałe trzy.., opierają się również na pierwowzorach francuskich". Tak więc na własny pomysł nie zdobył się Zabłocki ani razu: nawet tak nawskroś, zdawałoby się, oryginalna komedja, jak „Sarmatyzm" jest przeróbka sztuki... francuskiej, mianowicie pięcioaktowej komedji „*Lcs Nobles de province*" Hauteroche'a. Dokonane przez Bernackiego zestawienia tekstów nie pozwalają o tem wątpić. Ale te same zestawienia i o tem także wątpić nie pozwalają, że, jako mistrz stylu i języka i jako obserwator obyczaju polskiego, był Zabłocki pisarzem oryginalnym.

Oto drobny urywek sceny piewszej aktu pierwszego. W oryginale francuskim pan Fatencour tak się przechwala przed panem Valereux świetnością i starożytnością swojego rodu:

FATENCOUR:

Et ce fut en mémoire
De l'un de ses ayeux, qui tout couvert de gloire,
Sur onze Turcs, montant chacun un cheval blanc,
Avant que d'expirer, vangea son propre sang,
Quand d'une belle ardeur, suivant la noble atteinte,
Godefroy de Bouillon conquit la terre sainte.

VALEREUX:

Je croi qu il est ainsi.

FATENCOUR:

Ce Gaspard mit au jour
Messire Valantin, Blaise de Fatencour.
De ce Valentin Blaise, et d'une Bestenville
Naquit un Olivier. Celui là fut fertile,
Car d'une Cochonzac il laissa huit enfans,
Sçavoir: Richard, Thibaut, René...

VALEREUX:

C'est perdre temps,
Déjà plus d'une fois vous m'avez fait la grâce,
De m'éclaircir à fond sur toute vostre race,
J'en sçais les descendans.

FATENCOUR:

C'est pour vous témoigner,
Que le sang dont je sors n'est pas à dedaigner,
Et que des Fatencours la noblesse authentique,
Est un peu plus que noble, et c'est ce qui me pique,
Qu'une femme...

VALEREUX:

Elle a tort; on ne le peut nier...

A oto, co z tej rozmowy zrobił Zabłocki.

GURONOS:

Jeżeli sławne gdzieś tam imię Fabijuszów,
I naszych nam niemało Tatarzyn wziął uszów:
Nie pomnę, w którym roku, lecz rzecz oczywista,
Że w tej klęsce poległo Góronosów trzysta.

SKARBIMIR:

Słyszałem tyle razy od waćpana...

GURONOS:

Dom! Szczęściem został jeden Guronos Bartłomiej,
Gdyż był *lactans* w kolebce. Dorósłszy lat pory,
(Po naszym—Sędziwojów wonczas dom był wtóry
I już schodził), otóż w nim wziął *sociam vitae:*
Dobrosławę-Gertrudę-Jadwigę-Brygitę,

Ostatnią z Sędziwojów herbu Koziegłowy:
Alluzyja, jak wiemy z kroniki domowej,
Twardych rogów do Marsa, a koziej osady
Do dziedzicznej domowi Sędziwojów swady.

SKARBIMIR:

I to słyszałem...

GURONOS:

Otóż z tego Bartłomieja
I Brygity gasnąca dwu domów nadzieja
Wskrzesiła się na Mieszku, jedynym ich synie,
Który Mieszko, pojąwszy Gryszkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Gacka, Matyjasza,
Protazego, Łukasza i Matatyjasza.
Z których jeden był tylko *sterilis* Protazy.

SKARBIMIR:

Już i o tem słyszałem po tylekroć razy.
Pocóż?...

GURONOS:

Aby się tamta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce z pod ogona,
I że żona Żegoty...

SKARBIMIR:

Może mniej roztropna...

Kto zada sobie niewielki trud uważnego porównania tekstu francuskiego z polskim, ten się chyba zgodzi na to, że postać Guronosa jest daleko plastyczniejsza od postaci Fatencour'a, że pod względem dobitności i obrazowości stylu Zabłocki naprawdę o całe niebo przewyższa Hauteroche'a, nie mówiąc już o tem, że jego własna wyobraźnia i własna obserwacja ma na zawołanie różne rysy, których w oryginale francuskim niema, a które doskonale uwypuklają r o d z i m o ś ć charakterystyki szlachcica polskiego.

Niezmiernie ciekawe także jest dokonane przez Bernackiego odkrycie podobieństw, jakie zachodzą pomiędzy „Krakowiakami i Góralami" Bogusławskiego *) a grywaną w Warszawie przez aktorów niemieckich komedją Pawła Weidmanna *„Der Bettelstudent oder das Donnerwetter"*. Podobieństwa te, np. rola, jaką w akcji obydwóch utworów odgrywa wędrowny student ze swoją maszyną elektryczną, oraz inne jeszcze upoważniają do mniemania, że komedja Weidmanna nietylko była silnym bodźcem do napisania „Krakowiaków i górali", ale nadto dostarczyła Bogusławskiemu niejednego pomysłu. Czy jednak nie zadaleko posuwa się Bernacki, odrzucając kategorycznie (tom II, str. 139) wykazaną przez Eugenjusza Kucharskiego zależność „Krakowiaków i górali" od komedjo-opery francuskiej Poinsineta „Czarownik" *(„Le Sorcier")*? Na zbyt mocnych podstawach, na zbyt dokładnem porównaniu sztuki Bogusławskiego ze sztuką Poinsinet'a, oparł Kucharski swoje twierdzenie (w „Pamiętniku literackim" z roku 1914—1915), aby je wolno było *a limine* odrzucać. Jedno drugiemu nie przeszkadza nic: przecie, jak się to już nieraz pokazało, na genezę jednego utworu literackiego może się złożyć dwa, trzy i więcej utworów. Tak i tutaj: pewna zależność Bogusławskiego od Weidmanna bynajmniej nie wyklucza jego zależności od Poinsinet'a. A dodać trzeba, że jak to widać z repertuaru, grywano w Warszawie także i „Czarownika" (tom II, str. 302), więc znał go z pewnością Bogusławski.

Zresztą wartoby teraz, po odkryciu Bernackiego, nanowo zbadać sprawę źródeł literackich „Krakowiaków i górali".

I wogóle otwiera się teraz, dzięki Bernackiemu, nowe pole dla badań nad teatrem i dramatem Stanisławowskim, pole tem szersze, że Bernacki nie daje, ściśle biorąc, gotowych, wykończonych studjów, poprzestając na wydaniu i na umiejętnej systematyzacji olbrzymiego materjału, a w dziedzinie studjów nad podobieństwami i pokrewieństwami — na uwydatnieniu ich zapomocą kilku przykładów, to jest zapomocą zestawień kilku tekstów; wniosków autor nie wyprowadza, syntezy swoich tak rozległych, tak gruntownych i tak owocnych pomysłów nie daje, pozostawiając to innym. Oczywiście nie jest to żaden zarzut, tylko stwierdzenie cechy znamiennej jego dzieła, które raz na zawsze będzie epoką dla przyszłych badań nad „Teatrem, dramatem i muzyką za Stanisława Augusta".

* * *

W tym samym roku (1925), co dzieło Bernackiego, ale o dwa-trzy miesiące wcześniej ukazała się w Warszawie książka pod tytułem: „Wojciech Bogusławski i repertuar teatru polskiego w pierwszym okresie jego działalności (do roku 1794), ze słowem wstępnem prof. Bronisława Gubrynowicza" (str. VIII i 239). Autorem jest Leon Galle, syn Henryka, zmarły 21 kwietnia roku 1924, w dwudziestej szóstej wiośnie życia. Jego śmierć jest— to śmiało można powiedzieć — ciężką stratą dla nauki polskiej: tego niezbicie dowodzi jego książka, tak wymownie świadcząca zarówno o jego młodzieńczym zapale do nauki, jak o jego uzdolnieniach w tym kierunku.

Wobec materjałów, które ogłosił Bernacki, niejedno w książce Gallego ostać się już nie może. Tak np. (na str. 55) autor podaje w wątpliwość fakt wystawienia „Łgarza" Corneille'a na scenie warszawskiej: tymczasem z repertuaru Bernackiego (tom II, str. 268) okazuje się, że dnia 3 lutego roku 1778 grała tę komedję (w oryginale) trupa francuska. Dodać trzeba, że jak to wykazał Stender-Petersen w swojej źródłowej monografji niemieckiej o komedjach szkolnych Bohomolca (której Galle poznać nie zdążył), już Bohomolec zasilał się „Łgarzem" Corneille'a — w swojej komedji „Chełpliwiec". I takich przykładów możnaby przytoczyć więcej.

Czy jednak mogło być inaczej? Czy młodzieniec, który musiał, a raczej c h c i a ł, oderwać się od studjów naukowych dla służby wojskowej, który brał udział w walkach pod Lidą, Wilnem, Mińskiem, Borysowem, Dynaburgiem, Kijowem, (a jaki to był udział, tego dowiodły zdobiące jego pierś dwa krzyże walecznych), — czy ten młodzieniec mógł zgromadzić cały wielki materjał, potrzebny do historji teatru Stanisławowskiego? Podziwiać trzeba naprawdę, że go zgromadził tyle, że tak sumiennie opowiedział żywot i tak dobrze uwydatnił zasługi Bogusławskiego na tle repertuaru teatru w Warszawie, że przewertował z iście młodzieńczym zapałem tyle utworów dramatycznych—polskich, francuskich, niemieckich — grywanych w Warszawie za Stanisława Augusta. I nie będzie żadnej a żadnej przesady, jeżeli się powie, że ta książka Leona Gallego, to pierwsza tak sumiennie i pierwsza zamierzona na większą skalę próba historji teatru i dramatu Stanisławowskiego, że pierwszy Leon Galle dokonał umiejętnie klasyfikacji rozmaitych rodzajów dramatu polskiego owych czasów, że on pierwszy zebrał w jedną całość dawne i nowe (swoje własne) badania nad wpływami francuskiemi, niemieckiemi, angielskiemi, jakim nasz dramat za Stanisława Augusta ulegał.

Kto tę książkę przeczytał i kto, jak niżej podpisany, znał jej autora i kochał tę piękną, jasną duszę, śmiejącą się do życia i rwącą się do nauki, temu się boleśnie serce ściska — na myśl o tem, że to studjum jest nietylko pierwszą książką jego autora, ale i ostatnią...

IGNACY CHRZANOWSKI

*) Przyczynki do historji i do tekstu tej sztuki ogłosił niedawno Wiktor Brumer: „Z dziejów „Cudu mniemanego" Wojciecha Bogusławskiego" (Warszawa 1925, uzupełniona odbitka z „Życia teatru", drukowana jako rękopis).

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

O HAMLECIE

NIEZNANE URYWKI

Wyspiański napisał swoje studjum o Hamlecie w ciągu trzech dni [1]), w grudniu 1904 r. [2]). Było ono jednakże poprzedzone okresem długoletniej lektury od wczesnej młodości. W książeczce jego z r. 1885, w której zbierał odpisy żywiej go przejmujących utworów, szereg kart zapełniają wyjątki z Hamleta [3]).—Rozprawa, powstała w tak krótkim czasie, jak chyba żadna dotychczas z prac o Szekspirze, nie objęła jednak w druku wszystkiego, co Wyspiański o Hamlecie napisał. Świadczy o tem autograf rozprawy, znajdujący się (z wyjątkiem później powstałych rodziałów początkowych, których brak) w Muzeum Narodowem w Krakowie (Dz. p. 7267; Nr. Inw. 135057), z daru ciotki i wychowawczyni poety Janiny Stankiewiczowej. Zawiera on nieznane warjanty, bruljony, pierwsze dyspozycje i rzuty rozprawy, cenne nietylko dla dziejów powstania i narastania tekstu studjum, ale pouczające o samej pracy artystycznej Wyspiańskiego, który u Szekspira doszukiwał się praw, rządzących jego własną twórczością.

Materjał ten powinien znaleźć najdokładniejsze uwzględnienie w przypisach krytycznych do przyszłego wydania, (którego jednak nierychło można się spodziewać) studjum o Hamlecie. Ujęty w ścisłe obręcze naukowych objaśnień zajmie on przedewszystkiem specjalistów. Szersze natomiast zainteresowanie mogą obudzić jedynie dwa ustępy, których Wyspiański do druku nie oddał, zapewne dlatego, że kilka zasadniczych myśli, w nich zawartych, wypowiedział już po części w innych miejscach rozprawy. Godne są jednak w całej pełni poznania uwagi, dotyczące gry najsłynniejszych swego czasu artystów francuskich, pisane na podstawie autopsji. Podziwiał i krytykował—zwłaszcza krytykował!— Wyspiański grę i sposób wystawienia Hamleta w Paryżu w latach 1890 — 94. Grę wspomnianych w uwagach aktorów niemieckich widzieć mógł w czasie krótkich swoich pobytów w Wiedniu, Monachjum i innych miastach, gdzie się zatrzymywał w drodze do Paryża.

Ustęp pierwszy stanowi dalszy ciąg rozdziału, traktującego o strojach w Hamlecie, a zajmującego w książce str. 87—88. Następujący zaś po nim bezpośrednio drugi ustęp stanowi odrębny zupełnie rozdział. Tekst zajmuje cztery karty, w formacie 21 × 17 cm., zapisane jednostronnie atramentem, numerowane własnoręcznie przez Wyspiańskiego od 123 do 126. Poniżej drukujemy te ustępy, nic nie zmieniając ani w ich redakcji, ani w ich interpunkcji. Objaśnienia osób, występujących w tekście, pochodzą od wydawcy.

* * *

„Słyszałem też o malowaniu się waszem"...

Najczęściej zaś i najpowszechniej, po drugorzędnych europejskich teatrach i scenach, gdzie nie miano i n. p. nie umiano użyć pieniędzy na wyposażenie „Hamleta" w pewien jeden jakiś styl i gdzie interpretację stylową tak urządzenia sceny, jakoteż i gry i stylu grania uważano za:—kłopot; najczęściej i najpowszechniej po europejskich scenach grywano Hamleta:—chaotycznie:

Król był romański, Hamlet renesansowy, Gildenstern z obrazu Karpaczja [4]), Ozryk barokowy, Ofelia w stylu cesarstwa, Poloniusz w szlafroku, dwór stawał się garderobą teatralną i składem rupieci i łachów wszelkiego kalibru.

Wszelkie zaś próby stylowe, o których poprzednio wspomniałem, próby stylowe powodujące koszta, okazywały się w rezultacie—chybione.

Ostatniemi czasy grywała Sara Bernard [5]) na swojej scenie Hamleta, artystka z pewnością godna pamięci Szekspira i zajmowała się Hamletem i gdyby nie ta niepotrzebna okoliczność, że sama Hamleta grywała...

Ta właśnie okoliczność ogromnie utrudnia rozumienie: co właściwie Sara Bernard chciała dla Szekspira i jego Hamleta zrobić?

Rezultat więc jest ten, że zbliżyła się tylko ku niemu i podniosła ku Hamletowi o całą wysokość korków.

Grywa Hamleta Mounet-Sully (Paryż) [6]) artysta niezrównanej siły i potęgi gestu i słowa, który z pewnością wiele prawd Klaudjuszowi umie z całą grozą wypowiedzieć a Klaudjuszowemu dworowi wiele okazać dostojnej pogardy i — umrzeć, wstręt rzucając światu, gdzie, w zepsutej tegoż świata atmosferze, z trudem jeno oddechać można.

Grywa Hamleta Kainz (Wiedeń) [7]), z pewnością znakomicie hamletyzujący „Hamlet", już nie obłąkanego udający ale obłąkany hamletyzmem i hamletyzmem zadziwiający; wykształcony wysoce student Uniwersytetu, myślący o samobójstwie.

Grywał Hamleta Bonn (Monachjum, Wiedeń) [8]) z męską siłą tragiczną młodzieńca, któremu korona się należy, młodzieńca otoczonego szpiegami, który tajemnicę w sobie nosi i swego dopnie.

---

[1]) Właściwy tytuł brzmi: *The Tragicall Historie of Hamlet, Prince of Denmarke by William Shakespeare.* Według tekstu polskiego Józefa Paszkowskiego, świeżo przeczytana i przemyślana przez St. Wyspiańskiego. Kraków 1905.

[2]) Por. Tadeusz Sinko, z notatnika S. Wyspiańskiego, „Czas", z dn. 25 grudnia 1924, nr. 294.

[3]) Rękopis w Muz. Nar. w Krakowie, depozyt J. Stankiewiczowej. Dz. p. 4409, str. 52—54.

[4]) Vittore Carpaccio, zm. przed r. 1526; szkoła wenecka. Odznacza się prostotą, naturalnością, życiem i kolorytem.

[5]) Sara Bernard, ur. 1843 w Paryżu i tam zmarła w r. 1923. Jedna z najgłośniejszych artystek dramatycznych świata. Występowała m. i., od r. 1867, w Odéonie, Théâtre-Français i Théâtre des Nations. Zbierała również oklaski w Ameryce. W r. 1908 wydała swoje pamiętniki.

[6]) Sully Mounet, głośny aktor francuski, występował w Comédie Française, gdzie go podziwiał Wyspiański, o czem wspomina— na podstawie listów — Adam Grzymała-Siedlecki: Wyspiański (cechy i elementy jego twórczości) Wyd. II. Gebethner i Wolff, b. d., str. 57.

[7]) Kainz Józef, (ur. 1858 w Wieselburgu na Węgrzech), od r. 1873 występuje w teatrze; w miejskim teatrze w Lipsku, następnie w teatrach narodowych w Meiningen i w Monachjum. później w Berlinie, poczem w teatrze dworskim w Wiedniu.

[8]) Bonn Ferdynand, (ur. 1861 w Donauwörth), występował w Monachjum (od r. 1885), Wiedniu (Burgtheater), Berlinie (1905—7). Pracował literacko; wydał m. i. swoje wspomnienia p. t.: *„Zwei Jahre Theaterdirektor in Berlin* (1908).

Grywa Hamleta Robert[9]) i Mitterwurzer[10]) Sonnenthal[11]) i grywali go z całą potęgą swoich talentów i swego artyzmu, — ale może inne role w tym dramacie byłyby dla nich odpowiedniejsze.

Grywał Hamleta Irwing[12]) sławny i sławny przed nim niegdyś Kean[13]) i sławny przed nim niegdyś Garrick[14]).

A w Polsce?

W Polsce, na scenie poraz pierwszy ukazał się „Hamlet“ w roku 1797, jak o tem pisze prof. dr. Stanisław Estreicher w rozprawie swojej pod tytułem „Szekspir w Polsce w XVIII wieku[15]).

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Co u nas „o Hamlecie w Polsce“ i co u nas w Polsce „o Hamlecie“ pisano, tego nie znam. Dałoby się pewnie zebrać wiele. Gdyby kto chciał, mógłby książki zebrać i wyszukać i przeczytać.

Co gdziekolwiek indziej, poza Polską, „o Hamlecie“ pisano, dałoby się również, może choć w części, zebrać a zbiór tych „rzeczy o Hamlecie“ zabarykadowałby prędko czyjś pokój i mieszkanie.

Możnaby zebrać i — przeczytać.

Nie czytałem — na razie czytywałem dotychczas tylko „Hamleta“.

I od czytelnika nie żądam, aby to czytał, co piszę— ale, żeby lepiej przeczytał: Hamleta.

Będzie miał tę: świeżość myśli przy czytaniu i tę świeżość odczucia i uczucia — tę „subtelniejszą rękę“ — niż ja, — co zbyt długo już przebywam w Elzynorze, — „bo tak to we wszystkiem bywa:—im mniej się do czego rękę przykłada, tem delikatniejsze jej czucie“.

Podał do druku i przypiskami opatrzył

JAN DÜRR

[9]) Robert Emeryk, (ur. w Budapeszcie 1847), debiutował w Zurychu; występował w teatrach narodowych w Stuttgarcie i Berlinie, oraz w Wiedniu, w teatrze miejskim i dworskim.

[10]) Mitterwurzer Fryderyk, (ur. 1844 w Dreźnie). Występował w teatrze miejskim w Lipsku, następnie w Wiedniu. Wydał szereg dramatów oryginalnych i przekładów.

[11]) Sonnenthal Adolf, (ur. 1834 w Budapeszcie), z zawodu krawiec. Do teatru pchnął go głośny Dawizon (rodem z Warszawy). Sławę europejską zdobył na deskach teatru dworskiego w Wiedniu.

[12]) I. H. Irving, (ur. 1838 w Keinton), jeden z najsławniejszych aktorów i dyrektorów teatru w Anglji. Występował w Londynie, gościł na występach w Ameryce.

[13]) Kean Edmund, (ur. 1787 w Londynie, zm. 1833), od najwcześniejszej młodości występował w teatrze. Zdobywał sławę w Ameryce (dwukrotnie) i w Paryżu.—Syn jego Karol, (ur. 1811, zm. 1868), zasłynął również, jako znakomity odtwórca Szekspira. Przebywał na występach czas dłuższy w Ameryce, oraz Paryżu.

[14]) Garrick Dawid, (ur. 1716 w Hereford, zm. 1779), występował w teatrach londyńskich i w Dublinie. Jedna z największych postaci w dziejach teatru angielskiego; zwłoki jego spoczywają w opactwie Westminsterskiem u stóp pomnika Szekspira, którego tak świetnie kreował — Wspomina o nim Juljusz Słowacki w „Kordjanie“ (akt II).

[15]) Czas, 1891, nr. 271—4 i odb. Kraków 1892.

S O N E T Y

W TATRZAŃSKIEJ DOLINIE

Tadeuszowi Newlin-Wagnerowi

ZWAŁY spróchniałych, zgniłych kłód,
Wykroty leśne zagradzają drogę.
Kipi w gęstwinie srebrny rozprysk wód
I pierzcha w słońca zachodnią pożogę.

Niby spuszczony mostu zwód
Legła nad borem krzesanic zawora.
Czas ją poszczerbił tysiącem swych dłut
I mgła spowiła, jak całun upiora.

W sennym zamierzchu dzikich kniej,
Zaklętych niby śród świata przedmurzy,
Śmierć nie przeraża i życie nie nuży.

Chciej tu w mą duszę zstąpić, chciej,
Nocy, co w puszczy zadumaniu smętnem
Jak serce świata skrytem bijesz tętnem!

POLEGŁYM

POLEGŁYCH niechaj ciemną chwałą dębu wieńczą,
Co miłośnie oplecie dumną bladość czół;
Niechaj pierś im sztandarem przepaszą młodzieńczą
I przy huku wystrzałów złożą w zimny dół.

A na wiosnę, gdy groby w chaszczach się pogrążą,
Pełnych pląsów motylich i brzęczenia pszczół,
Niechaj młode dziewczęta z śpiewaniem podążą,
By umaić ich krzyże kwieciem polnych ziół.

Młodzież, którą wydała nadwiślańska wioska,
Utuli Przenajświętsza Panna Częstochowska.

Zaś tych, co pili wodę z Wilii i Niemna,
Ukołysze Mateczka Ostrobramska ciemna.

I swą dziatwę w ramiona przyjmie Gwiazd Królowa,
Przeczysta Matka Boża, Pani z Poczajowa.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

LIBERUM VETO

Życie w sprzecznościach. — Dobre i złe w jednej łupinie. — Męski odruch Lwowa. — Program komunizmu w Polsce. — Odwaga cząstki wobec całości.

JEST to zadziwiające, jak dalece ludzie żyć mogą w najskrajniejszych sprzecznościach i stosować zasady wzajemnie się wyłączające. Prawie każdy numer dzienników nadziewa się wiadomościami o okropnościach bolszewickich, o podkopach i napadach komunistów, o aresztowaniu i karaniu ich agitatorów i szpiegów—a jednocześnie rozprawia się o potrzebie i korzyści nawiązania ścisłych stosunków z państwem, które jest motorem tego potępionego ruchu. Czy zdrowy rozsądek może to pojąć? Czy społeczeństwo zbłąkane temi sprzecznemi zasadami może się zdobyć na jakąś stałą opinję, na przeciwdziałanie temu, co w jednym wypadku uważane jest za pożytek a w drugim za zbrodnię? Czy ono zdoła pojąć, dlaczego komisarze sowieccy uznani są za godnych sojuszu a ich podkomendni za godnych kryminału? Polityka zawsze wprowadzała zamęt do etyki i logiki, ale chyba nigdy w takiej mierze, jak obecnie. I dlatego każdy, nie biorący w niej udziału, jeżeli pragnie zabezpieczyć swą duszę od rozdarcia i pogodzić się z rzeczywistością, musi zapomnieć o moralności, o rozumie, o tem wszystkiem, co myślom i czynom nadaje jakąkolwiek prawidłowość. Albo musimy ciągle zdumiewać się, oburzać, protestować, albo zrezygnujmy zupełnie z wszelkich probierzów moralnych i powiedzmy sobie: nie ma obowiązującej powszechnie logiki i etyki, istnieje i obowiązuje tylko ordynarny utylitarym, który jeśli tego wymaga rachunek doraźnej korzyści, nazwie głupotę mądrością a podłość uczciwością. Wtedy dopiero można spokojnie żyć.

Nie zgodzili się na tę praktyczną filozofję niektórzy mieszkańcy Lwowa—najpatrjotyczniejszego i najdzielniejszego miasta w Polsce—postanowiwszy siłą zwalczać napaści komunistów. Jest to wyjątkowy objaw energji społecznej, która nawet w stolicy państwa nie zdobyła się na najsłabszy odruch. Tu bandyci „ideowi“ mogą w biały dzień urządzić napad, pobić, powalić i rozbroić policjantów, a śród licznie zgromadzonej i biernie przypatrującej się temu ohydnemu widowisku publiczności dotąd znalazł się tylko jeden śmiały człowiek, który obronił napadniętych i rozegnał zgraję. Gdyby przynajmniej te napady dokonywane były przez „ideowców“ komunistycznych, chociażby najętych i opłacanych, ale tak nie jest. Wiadomo, że gdy wybuchnie pożar, wprzódy jeszcze, niż straż ogniowa, przybiegają do niego złodzieje. Państwo nasze znajduje się ciągle w stanie pożaru, nic więc dziwnego, że uwijają się w niem rabusie. W aresztowanych uczestnikach zaburzeń komunistycznych policja rozpoznaje przestępców świeżo wypuszczonych z więzienia lub poszukiwanych. Ile tylko zwyrodniałych i zgniłych moralnie żywiołów posiada wielkie miasto, tyle bierze udział w zaburzeniach, w których powiewa sztandar bezrobotnych lub nowych zbawców świata. Co zaś ci zbawcy, z którymi mamy dojść do porozumienia politycznego, przygotowują dla swej przyjaznej sąsiadki, dowiadujemy się z uchwał zjazdu moskiewskiego, ogłoszonego przez „Głos Pracy“. A więc polecono wpuszczonym w nasz staw szczupakom komunistycznym: żądać rozwiązania Sejmu i Senatu, ażeby podczas nowych wyborów agitować śród ciemnych mas robotniczych i włościańskich, zyskując ich głosy dla komunistów, podburzać małorolnych i służbę folwarczną; opanowywać związki zawodowe wszelkich gatunków, organizować bez żadnego powodu strajki polityczne i ekonomiczne dla wytworzenia rozstroju w państwie, rozjątrzenia między proletarjatem a burżuazją i kłopotów rządu; owładnąć bezrobotnymi i doprowadzić ich do wybuchów; nie dopuszczać do zaciągnięcia przez Polskę pożyczki zagranicznej i do poprawy położenia gospodarczego. Oto jest program wpływów i działań zaprzyjaźnionego mocarstwa, pewnego odłamu posłów sejmowych, korzystających z nietykalności i „ideowców“ aresztowanych podczas roboty i przesiewanych przez bardzo rzadki przetak sprawiedliwości, przez który przelatują wszyscy drobniejsi szkodnicy i pozostają dla sądów tylko najgrubsi przestępcy, karani wspaniałomyślnie. Za co w bolszewji idzie się „pod stienku“, za to w Polsce dostaje się nieraz zaledwie parę miesięcy więzienia.

Nie można zaprzeczyć, że socjaliści są ludźmi wielkiej odwagi. W całej sumie stanowią oni około $^1/_2$ procentu ogólnej ludności kraju, jeżeli więc lekceważą opinję ogromnej większości społeczeństwa, to niewątpliwie okazują nadzwyczajną śmiałość. Proszę tylko zważyć: gruntowni znawcy przedmiotu udowodnili rachunkiem i rozumowaniem, że Polska może się wyratować z obecnego groźnego położenia tylko przez rozległą oszczędność w wydatkach państwowych, przez zmniejszenie nadmiernego zastępu urzędników i obniżenie ich płac, w przeciwnym razie dostanie się w niewolę ekonomiczną, a następnie polityczną. Socjaliści odpowiadają na to, że nie należy wprowadzać oszczędności, redukować urzędników ani ich wynagrodzeń. Znawcy wykazują, że drukowanie pieniędzy papierowych bez pokrycia (inflacja) pogrążyłoby Polskę w otchłań, z której się wydobyła; socjaliści odpowiadają, że trzeba drukować pieniądze papierowe. A gdy te oświadczenia społeczeństwo w $99^1/_2$ proc. przyjmuje ze zgrozą, socjaliści bronią uparcie swego stanowiska. Czy to nie wielka odwaga? Czy to nie pogarda stu kilkudziesięciu tysięcy dla opinji dwudziestu paru miljonów? Niech ginie Polska, aby się stała sprawiedliwość proletarjacka! Jeżeli chęć narzucenia wielkiej masie ludzkiej woli jej drobnej części jest postępowaniem „demokratycznie“ uprawnionem, to dlaczegożby z tego samego prawa nie miał korzystać każdy inny ułamek społeczeństwa? Zasada ta otwiera szeroko podwoje dla wszelkiej uzurpacji, gwałtów i zamachów. Jakim argumentem odeprzeć dążenie grupy, usiłującej przekształcić rzeczpospolitę na monarchję? Jak odmówić swobody działań komunizmowi? Jeżeli zaś bezpieczeństwo państwa ma być jedyną miarą wartości rozmaitych dążeń, to ponieważ Polska zginęłaby zarówno przy rządach socjalistycznych, jak komunistycznych, to doprawdy dla ofiary skazanej na śmierć jest obojętne, czy będzie zarżnięta, czy uduszona, czy ją rozszarpie tygrys, czy zmiażdży swemi kręgami boa.

Gdzie niema stałych, powszechnie szanowanych i ściśle wykonywanych praw, tam niema również granic możliwości. Słyszeliśmy już o najrozmaitszych rodzajach zabójstw, ale o tem, ażeby wielokrotnie karany kryminalista, z natury i zawodu zbrodniarz, złodziej, dokonywujący występnych czynów w dużej skali, bo od kradzieży bielizny na strychach do rozpruwania kas ogniotrwałych, ażeby taki opryszek zastrzelił w dzień na ulicy działacza społecznego wielkiej miary i zasługi, odpowiadającego przed sądem za przekroczenie władzy—to chyba się jeszcze nie zdarzyło. To też gdy rozbiegła się wieść o tem zabójstwie, wywołała już nietylko zgrozę, ale zdumienie. Linde był człowiekiem wyjątkowo dobrym i osobiście bezinteresownym, życie spędził na działalności patrjotycznej i na tworzeniu instytucyj, z których najważniejsza, Pocztowa Kasa Oszczędności, jest wspaniałym pomnikiem jego rozumu, energji i prawości. Niewątpliwie w udzielaniu kredytu pobłądził lekkomyślnością i za to stanął przed sądem; ale żeby mścicielem wyrządzonej przez niego „szkody ojczyźnie“ stał się zwyczajny zbrodniarz,

to nie mieści się w żadnej głowie. Jedyne rozwiązanie tej niepojętej zagadki tkwi w przypuszczeniu, że Linde posadzony został na ławie oskarżonych dlatego, że nie należał do żadnej partji, którąby go — jak to ciągle się dzieje, — zabezpieczyła od odpowiedzialności i hańby, że jego morderca, ośmielony plugawemi napaściami i kopaniem powalonego lwa przez osłów w pismach oszczerczych, postanowił dogodzić swemu instynktowi zbrodniczemu i zastrzelił człowieka, stojącego poza wszelkiemi partjami, a więc poza wszelkiem prawem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

U GROBU SŁOWACKIEGO

BARDZO rano, w Wielką Sobotę 3 kwietnia, w rocznicę śmierci poety, poszedłem na cmentarz Montmartre.

Ciasno stłoczone groby, zdając się spychać nawzajem, kryją w zapadłym kącie grób Słowackiego.

Pogodny kwietniowy dzień; nieliczne drzewa zazielenione już bladą zielenią wiosenną ożywiają nieco cmentarz położony wśród kamienic i brudnych ulic tej dzielnicy Paryża. Chopin na Père Lachaise leży w ładniejszem otoczeniu, ale i w większem opuszczeniu. Autora „Króla Ducha“ odwiedzają Polacy częściej, nawet kwiaty mu przynoszą, nawet policjanci tutejsi umieją dokładnie objaśnić, w której stronie jest „*le tombeau de Slowacki*“ i dodają, że poeta ma być wkrótce zabrany do ojczyzny. Kiedy usłyszałem to z ust Francuza zrobiło mi się nieprzyjemnie. Odrazu przypomniała mi się cała historja sławnego „sprowadzenia zwłok“. Od czasów przedwojennych wlecze się ta sprawa. Napisano setki artykułów, wygłoszono niejedną mowę, zbierano składki a Słowacki jak leżał tak leży na dusznym Montmartrze wśród obcych.

I nie sam ten fakt każe nam się wstydzić. Są czasem przykre konieczności, których uniknąć nie można. Tu jest inaczej. Śmiertelnych szczątków Słowackiego nie sprowadzono jeszcze do Polski z przyczyn — powiedzmy szczerze — błahych i małostkowych. Poprostu dlatego, że najpierw pokłócono się o miejsce w którem Go złożyć a następnie nie było dość pieniędzy na pompatyczne uroczystości pogrzebowe, bez których nie wyobrażano sobie sprowadzenia zwłok poety.

Ależ przedewszystkiem: zabrać Go z wygnania i złożyć w jakiejkolwiek krypcie kościelnej w Polsce a potem będzie czas na spory i piękne projekty, jak np. ów osławiony pomysł pochowania poety w Tatrach.

W „komitetach sprowadzenia zwłok“ debatuje się: Wawel czy katedra Św. Jana, a może Krzemieniec? tymczasem Słowacki czeka bez końca. I choćby się pogodziły wreszcie komitety, to też nie wiele pomoże, bo nie będzie pieniędzy na paradę. Parada musi być, bo jakże: Sienkiewicz ją miał i Nieznany Żołnierz — to musi mieć i Słowacki.

Ależ panowie! przyjdą kiedyś lepsze czasy to będzie i parada, ale dziś chociaż skromnie i ubogo a jednak chyba lepiej zabrać Go do siebie, żeby nie tułał się po cudzych kątach.

Jeżeli skromną rodzinę polską stać na uczciwe pogrzebanie drogiej osoby, to jeszcze społeczeństwo zdobędzie się na transportację zwłok Słowackiego. Tylko że u nas, w takich razach, robi się wszystko bez miary: albo wspaniałe, rozrzutne święto żałobne albo nic. Dużo było w ostatnich latach arcyparad pogrzebowych a Słowacki i Chopin w Paryżu, Stanisław August w Petersburgu, a Stanisław Leszczyński gdzieś w szafie, jak powiadają, na Zamku warszawskim.

Rozproszonych trzeba zebrać znowu w Polsce.

Niema pieniędzy na stosy wieńców i orkiestry, niema czasu na oficjalne wystąpienia i mowy, to nie szkodzi. Tymczasem złożyć Ich choć ubogo i cicho, ale u siebie w domu, a jak będzie spokojnie i bogato, będzie czas na obchody, na to zawsze czas.

Prawda, że to nieefektownie i nie da okazji do rozgłosu, ale może byłoby uczciwsze wobec Ich pamięci.

Dziś, 11 kwietnia, przy grobie Słowackiego odbyła się uroczystość, urządzona przez miejscowe towarzystwa polskie i polsko-francuskie. Parę szablonowych przemówień, parę deklamacyj, wieniec; jak za smutnych lat tułactwa, jakby nie było miejsca na własnych śmieciach.

Paryż, 11 kwietnia. MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Układ niemiecko-sowiecki. — Kłopoty Anglji.—Uchwalenie prowizorjum budżetowego.—Głowa i kadłub.

SENSACJĄ ostatniego tygodnia jest niewątpliwie traktat niemiecko-sowiecki, podpisany dn. 24 kwietnia w Berlinie. Tekst traktatu sformułowany jest bardzo niewinnie: obie strony zawarły go „w dążeniu do uczynienia wszystkiego, co może się przyczynić do ogólnego pokoju“, a głównem postanowieniem jest wzajemne zobowiązanie przestrzegania ścisłej neutralności „jeśli jedna ze stron... zostanie mimo pokojowego zachowania się przez jedno lub więcej trzecich mocarstw zaatakowana“. Ale fakt, że właśnie w chwili obecnej obie strony uczuły pilną potrzebę podpisania takiego właśnie układu, musi jednak zastanowić i zaniepokoić: czyż można go zrozumieć inaczej, niż jako celową demonstrancję, mającą wykazać, że porozumienia locarneńskie nie wyznaczyły jedynej drogi, po której odtąd kroczyć musi niemiecka polityka zagraniczna, ale że zawsze ma ona do wyboru drogę inną, której początek dał zawarty w r. 1922 traktat w Rapallo?

W Polsce, gdzie poza „garścią idealistów“ (przeważnie wyznania mojżeszowego) nikt bodaj w szczerość „dobrej woli“ Niemiec nie wierzy, krok dyplomacji berlińskiej wywarł wrażenie, ale nie wywołał zdziwienia. Inaczej w Anglji. Układ niemiecko-sowiecki i opinja publiczna i sfery rządowe potraktowały tam, jako przykrą niespodziankę, tak że nawet specjalne wyjaśnienia, złożone przez ambasadora niemieckiego w Londynie p. Sthamera, nie były zdolne zatrzeć niemiłego wrażenia. Mimo uspokajających oświadczeń, coraz widoczniejsze staje się dla każdego, że gmach, wzniesiony w Locarno, nie opiera się na zbyt mocnych fundamentach i grozi zawaleniem. Opinja angielska (sądząc z dotychczasowych tendencyj) zechce więc zapewne wzmacniać ten gmach przy pomocy nowych, dalszych ustępstw na rzecz Niemiec, aby w ten sposób silniej wreszcie związać je z ideą Ligi Narodów... Jak daleko jeszcze posunie się Anglja na tej drodze?

To pewne, że oprócz trudności zewnętrznych, polityka Anglji coraz wyraźniej krępowana jest trudnościami sytuacji wewnętrznej. Właśnie w tym czasie, gdy w Berlinie szykowano się do ogłoszenia układu niemiecko-sowieckiego, w Anglji zostały zerwane rokowania między właścicielami kopalń a górnikami, grożąc (jeśli zatarg nie zostanie załagodzony) strajkiem powszechnym w górnictwie, przemyśle metalurgicznym i transportowym. Związki zawodowe górników nie zgodziły się ani na zmniejszenie płac (wyższych o 33% niż przed wojną), ani też na powiększenie pracy ponad 7 godzin dziennie, aczkolwiek w obec-

nych warunkach wiele kopalń prowadzić musi gospodarkę deficytową i utrzymuje się jedynie przy pomocy zasiłków, udzielanych od dziewięciu miesięcy przez państwo. Dotąd zasiłki te kosztowały skarb W. Brytanji przeszło 24 miljony funtów sterlingów. Jasne jest, że taki stan rzeczy nie może trwać długo, że muszą nastąpić zmiany i to zmiany radykalne, głębokie.

W naszej polityce wewnętrznej najważniejszem zdaniem jest uchwalenie przez Sejm prowizorjum budżetowego na maj i czerwiec, w myśl projektu, przedstawionego przez ministra skarbu Zdziechowskiego. Mimo opozycji socjalistów prowizorjum uchwalone zostało w pierwszem czytaniu większością 200 głosów przeciwko 156, co wskazuje najlepiej, jak dalece słuszna była decyzja Prezydenta Rzplitej odmówienia przyjęcia dymisji rządu, posiadającego w dalszym ciągu poparcie większości Izby. Głosy prasy socjalistycznej i sulejowskiej, krytykujące pozostanie rządu przy władzy z punktu widzenia „zwyczajów konstytucyjnych", możnaby uznać za usprawiedliwione tylko wówczas, jeśli się przyjmie zasadę, że rządem konstytucyjnym nie jest rząd, posiadający zaufanie większości parlamentu, ale rząd, posiadający zaufanie socjalistów. Prasa brukowa zapewnia, że ku takiej teorji konstytucyjnej składa się właśnie prezes ministrów Skrzyński, który zamierza podać się do dymisji „najdalej we wtorek 4 maja". Według tej prasy głowa rządu skłonna jest zgodzić się z opinją, że po ustąpieniu ministrów-socjalistów rząd obecny jest tylko rządem... kadłubowym...

IGN.

NAUKA I LITERATURA

ANTAGONIZM WIESZCZÓW

NAZWĘ wieszcza na oznaczenie poety przejęliśmy z łaciny, gdzie wyraz *vates* oznacza jednocześnie poetę i wróżbitę; — jednakowoż tytuł, ten, stał się u nas przywilejem kilku tylko wybranych, jakgdyby synonimem poety w wyższej potędze. Słusznie w którejś ze swych rozpraw zauważył Klaczko, ża naród nasz wynalazł niejako nowe miano dla poetów, których szczególnie chciał wyróżnić — co więcej, dla tych, którzy w życiu i pojęciach naszego społeczeństwa spełnili niezwykłą wprost rolę. Uzupełniając te słowa, możemy dodać, że spełnili oni rolę — wprost bezprzykładną w dziejach narodów. Wprawdzie niejeden naród miał poetów wielkich i genjalnych, co jak Dante, stwarzali i kształtowali mu mowę, co nadawali mu religję i cywilizację—jak Homer, ucieleśniali jego triumfy— jak Eschil, sławili jego wielkość — jak Wirgiljusz, porywali go do walki — jak Tyrteusz, wypowiadali jego hasła i tęsknoty — jak Milton... ale nie wiem, czy gdziekolwiek i kiedykolwiek byli poeci, którzyby w tym stopniu, co owi poeci polscy, byli przywódcami duchowymi i politycznymi swego społeczeństwa, żywym wyrazem wszelkich jego uczuć, myśli i dążeń, a nawet wcieleniem niejako, uosobienia całego narodu. Nigdzie, nigdzie poza Polską, z niczyich ust nie padły takie słowa: „Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony; ja i ojczyzna to jedno!" lub takie: „Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła"...

Znaczenie tych poetów było swojego czasu tak wielkie, że okres trzech wieszczów, jak go popularnie nazywają — okres istotnie najwspanialszych wzlotów, największego rozkwitu naszej literatury — jest po dziś dzień głównym terenem nietylko lektury szkolnej, ale i badań naukowych.

Do kwestyj zaś, nad któremi bardzo często lubili się zastanawiać badacze, literaci — ba nawet anegdociarze! — należy wzajemny stosunek trzech wieszczów.

Kwestji tej ostatnio poświęcono wielkich rozmiarów książkę, zatytułowaną „Antagonizm wieszczów" *). Autorem jest prof. Manfred Kridl, jeden z najlepszych znawców zarówno Mickiewicza, jak i Słowackiego. Już to samo zapowiadało, o jakich to wieszczach będzie mowa w tej książce (nb. jeden z szybkopiszących recenzentów prowincjonalnych, omawiając tę książką, utrzymywał, że traktuje ona o stosunku Słowackiego do... Krasińskiego! widać niektórzy recenzenci nie umieją czytać nawet — tytułu!...); zresztą, nawet gdyby nie było dopiska „rzecz o stosunku Słowackiego do Mickiewicza", rozproszyłby dostatecznie wszelką wątpliwość zawarty w tytule wyraz — antagonizm. Nie zażyłość, nie wpływy, nie przyjaźń, nie nieprzyjaźń, nawet nie rywalizacja, ale antagonizm. Z Krasińskim toczył Słowacki tylko s p ó r o „Psalmy" — względem Mickiewicza był antagonistą.

„Stosunek do Mickiewicza jest ważnym elementem twórczości Słowackiego" — powiada na wstępie Kridl, zaznaczając, że o wyjaśnienie twórczości Słowackiego głównie mu chodzi: „można mówić właściwie tylko o walce Słowackiego z Mickiewiczem, nie naodwrót... jeżeli chodzi o wpływy literackie, to może tu być mowa tylko o wpływie Mickiewicza na Słowackiego". O wpływach tych nieraz mówi Kridl, zwłaszcza gdy chodzi o pierwociny literackie Słowackiego; później staje się o wiele oszczędniejszy w tym względzie, bo ważniejsze kwestje ma do omówienia, a kwestyj tych coraz więcej przybywa, coraz są donioślejsze i bardziej skomplikowane, tak iż nakoniec wypadło pominąć wiele nietylko szczegółów, ale nawet utworów mniej ważnych, choć bardzo charakterystycznych (jak „Mój Adamito", a nawet „Matecznik") — co zresztą sam prof. Kridl zaznacza.

Od drobnych reminiscencyj (które jeszcze długo wyszukiwać będą różni drobni szperacze) ważniejsze są przedewszystkiem całe utwory, podejmujące temat, opracowany poprzednio przez Mickiewicza — albowiem w puściźnie Słowackiego spotykamy fragmenty „Dziadów", „Konrada Wallenroda", „Pana Tadeusza"... Od czasu, gdy Eurypides chcąc w sławie ubiec Sofoklesa, pisywał tragedje na ten sam temat, choć o innych motywach, co jego wielki rówieśnik,— rzec można, że Słowacki jest prawie unikatem podobnego zjawiska; zwłaszcza, że wchodził tu w grę wprost niezwykły czynnik psychologiczny. Mianowicie Słowacki, że się tak wyrażę, wczuwał się wprost w Mickiewicza, przenikał i roztrząsał jego duszę i twórczość, a na samym sobie nieraz próbował prawdziwości obserwacyj, dokonanych na swym rywalu. Słusznie mówi Kridl, że Słowacki był „najinteligentniejszym i najsubtelniejszym czytelnikiem Mickiewicza owych czasów". Nietylko czytelnikiem ale i krytykiem, bo nie było prawie dzieła Mickiewicza, któregoby Słowacki nie omówił i (często b. trafnie) nie osądził.

Tyczy się to nietylko strony literacko - artystycznej tych dzieł, ale przedewszystkiem — ideowej. Tu już stosunku Słowackiego do Mickiewicza niepodobna nazwać krytyką — jest to walka. Zrazu, a przedewszystkiem w „Kordjanie", owa „walka ma (jak mówi prof. Kridl) „więcej pierwiastku negatywnego niż pozytywnego". Słowacki nie stworzył sobie jeszcze określonych zasad, któreby mógł przeciwstawić Mickiewiczowi. Takie skrzyżowania szpad, jak „Wallenrod" — „Lambro", „Dziady cz. III" — „Kordjan" były ze strony Słowackiego raczej tylko błyskami stali, niż ciosami; ciosem był dopiero „Anhelli", jako replika na „Księgi pielgrzymstwa" — „bystre oko Słowackiego dojrzało w emigracji rysy i skazy, których nie widział, nie chciał widzieć entuzjazm Mickiewicza". Najwyższym sukcesem — w pojęciu samego Słowackiego — miał być „Be-

*) Manfred Kridl. Antagonizm wieszczów. Rzecz o stosunku Słowackiego do Mickiewicza. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1925.

niowski", zwłaszcza zakończenie pieśni V-ej; całość miała artyzmem i rozgłosem przewyższyć Mickiewicza — ten zamiar Słowackiemu się nie powiódł — a zakończenie ks. V-ej miało być wykazaniem niemocy twórczej milczącego wieszcza litewskiego: „pęknięcie serca znać na twojej korze"...

Po takim szturmie, jakim są owe strofy, czyż prawdę zawierają słowa: „A tak się żegnają nie wrogi"...? Najzupełniejszą! Słowacki nie był nigdy Mickiewiczowi wrogiem (conajwyżej był nim tylko z początku, za obrazę ojczyma), owszem dążył do pojednania, do porozumienia z Mickiewiczem; co więcej, pomimo dziwnej obojętności, jaka go z tej strony spotykała, zdobywał się na gesty szlachetne — takie, jak wręczenie puharu albo jak protest z powodu dymisji Mickiewicza z katedry uniwersyteckiej; ba, nawet był czas, że poddał się wprost pod komendę Mickiewicza, chciał z nim współdziałać — mówię o przystąpieniu do Koła towiańczyków. Całe szczęście dla Słowackiego, że poddanie to trwało tak krótko; to, że zerwał z Kołem, jest prawdziwą chlubą i dla jego genjuszu i dla jego charakteru. Tu dopiero odniósł naprawdę (choć już nie o to mu głównie chodziło) — triumf nad Mickiewiczem. Bo, jak powiada Kridl, „zarzuty Sł. przeciw Kołu były słuszne i uzasadnione" — tem samem i zarzuty przeciw Mickiewiczowi, który był Koła duszą i spójnią. Na naukę i czyny Towiańskiego zapatruje się Kridl wogóle krytycznie: „Mickiewicz i tylko Mickiewicz ratuje w naszej opinji Towiańskiego".

Porównanie poglądów Słowackiego i Mickiewicza w okresie mistycznym jest treścią najdłuższego z rozdziałów, obejmującego prawie trzecią część książki prof. Kridla, szczegółowej analizie poddano tu spotykane u obu poetów pojęcia: ducha, słowa, ofiary, metempsychozy, człowieka, posłannictwa Polski, wolności, — poglądy polityczno-społeczne, pojęcie czynu, stosunek do poezji i sztuki. U Mickiewicza ta ostatnia kwestja mogła być jeno teoretyczna, gdyż zerwał już z poezją; natomiast Słowacki nietylko, że tworzył z żywiołową mocą wielkie i oryginalne dzieła poetyckie, ale — co więcej — starał się niejako skonsolidować,ześrodkować swój talent, stwarzając jednolity system „bogaty w problemy i zagadnienia i skrzący się wszystkiemi cudami jego wyobraźni". Natomiast „cała misja Mickiewicza służy tylko konkretnym celom i zadaniom" — dodajmy całkiem dorywczym.

W raptularzu zapisał Słowacki, iż przez „męki serdeczne zdobywa się wodzowstwo narodu". To „wodzowstwo" było jego celem i dążnością, nietylko wodzowstwo moralne i intelektualne, ale nawet — polityczne. Rok 1848 — ostatnie miesiące życia Słowackiego — wśród wielu niezwykłych zdarzeń, przyniósł jedno zdarzenie wprost bezprzykładne: oto dwaj wielcy poeci stają na czele społeczeństwa, prowadzić je chcą do walki orężnej za ojczyznę. Jeden wyrusza w tym celu do Włoch, drugi w Poznańskie; tu—legjon, tam — konfederacja...

„Król-Duch", przedśmiertne dzieło — nieskończone— jest ostatnim oddźwiękiem tej dziwnej walki czy rywalizacji, „rząd dusz" mającej na celu. Na tem też książkę swą zamyka prof. Kridl, dając jeszcze w zakończeniu porównanie dwóch największych dzieł, dwóch epopei: „Pana Tadeusza" i „Króla Ducha", w których obaj poeci wypowiedzieli się najdokładniej—Słowacki w „Królu Duchu" nawet... zupełnie...

Książka prof. Kridla (powtarzamy to zgodnie z jego własną opinją), nie wyczerpała oczywiście tematu, do którego pewno inni badacze dorzucą drobne — może nawet ciekawe — przyczynki. Jednakowoż istotnych zmian one nie przyniosą, nie naruszą w niczem konstrukcji jasnej, przejrzystej i logicznej wywodów i definicyj, postawionych przez Kridla. Unikanie niepotrzebnego balastu szczegółów i wielka naturalność stylu są prawdziwą ozdobą tej pracy gruntownej i ciekawej. JÓZEF BIRKENMAJER

HOŁD KASPROWICZOWI

Ukazał się w prasie komunikat tej treści:

Celem uczczenia jubileuszu pracy pisarskiej Jana Kasprowicza zawiązał się w Zakopanem dnia 12 kwietnia r. b. podpisany Komitet. Komitet zaprosi do swego grona reprezentantów najwyższych władz Rzeczypospolitej oraz organizacyj artystycznych i naukowych, aby tem świetniejszą uroczystość, jaką projektuje w dniu 27, 28 lub 29 czerwca r. b. urządzić w Zakopanem, jako w obecnem miejscu zamieszkania poety.

Komitet zainicjuje potworzenie się komitetów lokalnych w różnych miejscowościach Rzeczypospolitej, które zechcą oddać hołd wielkiemu pisarzowi w sposób, jaki wskaże miejscowa inicjatywa.

Uroczystość w samem Zakopanem, nie tracąc charakteru ogólno-polskiego, położy jednak nacisk na ton podtatrzański, ze względu na dłuższy pobyt i stałą już teraz siedzibę poety w Harendzie w Zakopam i ze względu na to, że twórczość poety (ostatnich i dawniejszych lat) związana jest serdecznemi węzłami z Podhalem.

Komitet postanowił z kwoty, uzyskanej drogą składek w społeczeństwie polskiem, utworzyć dar narodowy.

Pod tem zawiadomieniem podpisali się członkowie Komitetu z Zakopanego:

Dr. Teodor Białyniecki Birula, Stanisław Bohusz-Zończyk, Kazimierz Brzozowski, dr. Józef Diehl, Roman Hahn, dr. Stanisław Turowski, dr. Stanisław Hierowski, ks. Jan Humpola, Medard Kozłowski, Kazimierz Mochnacki, Jan Pęksa, Bronisław Romaniszyn, inż. Karol Stryjeński, Juljusz Zborowski.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Prof. literatury w uniw. Jagiellonskiego Ignacy Chrzanowski, którego artykuł wyżej podajemy, otrzymał teraz od swych uczniów piękny upominek. Wyszła mianowicie w Lublinie książka zbiorowa pt. „Ignacemu Chrzanowskiemu — uczniowie lubliniacy (1910—1925)" dla upamiętnienia 15 lat wykładów w uniw. krakowskim. Kółko słuchaczów, mieszkających w Lublinie złączyło na ten tom swoje prace, mianowicie: Araszkiewicz dał studjum ze spuścizny rękop. B. Prusa, Gucwa napisał o przyrodzie w sielankach Woronicza, Kamykowski — o „Romantyczności" Mickiewicza, Jul Krzyżanowski o „Sowizdrzale", Kukulski o latach szkolnych Staszyca, Śmieciuszewski o W. Potockim, Z. Tołowiński o „Sobótce" Kochanowskiego Na początek tego szeregu bardzo dobrych rozpraw dano z Chrzanowskiego syntetyczny urywek o literaturze staropolskiej, a na zakończenie bibljografję prac profesora. Wymieniono 173 pozycje pomijając wiele w czasopismach. Nie wzmiankowano nawet, iż pisał po wojnie w „Gaz. Warsz". Czas biegnie. Zawsze młody Ign. Chrzanowski pierwszy artykuł ogłosił w r. 1889, a więc 37 lat temu.

W tych dniach ukazało się drugie wydanie kapitalnej monografji Ign. Chrzanowskiego o Marcinie Bielskim (studjum historyczno-literackie), znacznie powiększone w porównaniu z wydaniem pierwszem z r. 1906. (Książnica - Atlas, str. 351)

*

Zainicjowany przez Romana Dmowskiego przed trzema laty Klub Wszechpolski zbiera co parę tygodni swych członków na konferencję naukową z zakresu zagadnień politycznych. Na ostatniem zebraniu Klubu pod przewodnictwem red. Z. Wasilewskiego—wygłosił konferencję senator Joachim Bartoszewicz, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli odrodzenia myśli narodowej, który tę myśl świetnie propagował przed wojną w Kijowie, jako redaktor dziennika polskiego i prezes organizacji ugrupowań narodowych. Senator Bartoszewicz obecnie wchodzi w skład komisji, prowadzącej w Berlinie układy Polski z Niemcami w sprawach gospodarczych. Z bardzo interesującego wykładu sen. Bartoszewicza na temat „Zagadnienie władzy w Polsce" wyjmujemy według notat część ogólną i tę podajemy na czele zeszytu. Przypominamy, że sen. Bartoszewicz jest autorem „Podręcznego słownika politycznego", wydanego przed paru laty w księg. Perzyńskiego, Niklewicza i sp.

U SŁOWIAN

Znany publicysta bułgarski W. T. Wełczew wydał ostatnio b. ciekawą pracę p. t. „Ku katastrofie" (*Kam Pogrom*). Są to artykuły polityczne, odnoszące się do obu wojen bałkańskich i udziału Bułgarji w wojnie światowej: Ideały i błędy polityków bułgarskich. Wojna bałkańska i katastrofa Bułgarji w r. 1913 — Wmieszanie się Bułgarji w wojnę światową. — Następstwa i perspektywy. — Podobne publikacje ukazywały się w Bułgarji w ostatnich datach dość często, żadna jednak nie wykazywała z taką stanowczością, że przyczyną wszystkich klęsk Bułgarji była niesłowiańska polityka b. cara Ferdynanda i jego [zauszników — i że właśnie w szczerej słowiańskiej polityce leży przyszłość narodu bułgarskiego.

TEATR

DRAMAT E. ERBENA: „AGNE“

Na scenie teatru Narodowego wystawiono dramat nieznanego dotąd pisarza Eryka Erbena p. t. „Agne“. Erben, jak się dowiaduję, jest lwowianinem; utwór swój dał przed paru laty na konkurs m. Warszawy i zdobył drugie miejsce. Połączona z tem odznaczeniem nagroda polegała na tem właśnie, że sztuka będzie wystawiona. Do sądu konkursowego należeli wybitni krytycy warszawscy; widocznie utwór Erbena wtedy im się podobał. Zwłaszcza zalecał go śp. Rabski, który sztukę miał w czytaniu, pragnął nawet ją reżyserować.

Wskazówka na afiszu, że akcja lokalizuje się na pograniczu sowieckiem, a co do czasu w r. 1921, nie ma istotnego znaczenia. Na historję autor nie miał zamiaru kłaść nacisku, pragnął tylko swoją demonstrancję psychologiczną zbliżyć do epoki, aby słuchacze uprzytomnili sobie, że znają z własnej obserwacji podobne stany psychiczne. Chciał pokazać na przykładzie z naszych czasów, jak wygląda dusza kobiety uczciwej a egzaltowanej, gdy wypadki potargają jej życie osobiste, stanowiące jedną z mężem komórkę. Mąż na siedem lat emigrował, a ta pozostawiona samotnie w swojej połówce, wypełnia marzeniem pustkę. Jak zatrzymany zegar stanęła w miejscu z obrazem ukochanego w oczach. Życie popłynęło obok, porwawszy z sobą i męża; nie wiedziała, że im bardziej idealizuje rzeczywistość, tem bardziej od niej się oddala.

Marzenie i rzeczywistość — zatarg między niemi znany i ograny, a jednak zawsze nowy, bo niezliczone są tego motywu odmiany. Zasadniczy schemat wyników tego zatargu jest dwojaki: marzenie pokrywa się z rzeczywistością, jest to wynik życiowo dodatni, w sztuce— komedjowy, albo zawodzi, a wtedy dzieje się dramat, tem bliższy katastrofy dla jednostki, im uporczywsze było marzenie. Nurtem zasadniczym marzenia jest dążenie do realizacji. Uczucie, wydatkowane w próżnię, wraca jak trucizna. Marzenia na tle pragnień i zwidzeń, jeśli są zbiorowe, objektywizują się w mitach, osobiste—w idealizowanych koncepcjach, które są wspomnieniami, jeśli chodzi o rzeczy minione. Przypomnijmy sobie, że widziany w tymże teatrze Narodowym mit o marynarzu Jerzego Szaniawskiego okazał się realniejszy, niż wykryty fakt, który miał być jego podstawą.

Na realizowaniu marzeń w formach artystycznych oparta jest sztuka. Jest potrzebą ludzką objektywizować zwidzenie i utrwalać je, jako pomniki przeżyć, aby się od marzeń nie udusić. Ale gdy marzenie nie jest bezinteresowne, jak w sztuce, lecz życiowe, gdy się je ma zrealizować własną dolą, wtedy rzeczywistość obowiązuje i mści się za marzycielstwo. Wtedy jest dramat.

Taki dramat przechodzą w dziedzinie ethosu wszyscy ci np., którzy marzyli o Polsce bez starania o jej realizowanie życiowe, a więc oddalali się od niej. Marzenia takie bez realizacji są grzechem przeciwko prawu twórczości. Kultura dochowa powinna dawać poczucie, co się winno życiu, a co literaturze. Marzenie o tem, co ma być w życiu, musi być realizowane czynem, odpowiadającym prawu życia, nie imaginacji literackiej. Jest to prawo życiowe nie tylko ethosu, ale i erosu.

W marzeniach o podkładzie erotycznym najłatwiej o dramat, motyw bowiem woli, normujący stosunek, staje się tutaj igraszką popędów naturalnych i losu. Marzenie, nie pokrywające się z rzeczywistością, bywa przedewszystkiem dramatem kobiety, jako tej strony, która ma mniej szans regulowania marzeń w sposób czynny. Dla tego sztuka dramatyczna najłatwiejsze pole będzie miała zawsze w dziedzinie erosu. Im mniej zaś [duszy w jakiej epoce kobieta wkłada w miłość, tem większy będzie popyt na komedję, gdy dusza nabiera ceny, wtedy kwitnie w sztuce dramat.

Erben naraził się przedewszystkiem tem, że upatrzył w życiu erotycznem dramat. Dzisiejsi ludzie nie dowierzają, żeby ktoś mógł na serjo widzieć coś dramatycznego w miłości. Skoro marzenie nie odpowiada rzeczywistości, to rozwód lub coś w tym rodzaju; dramat kobiety nas nudzi.

Autor omawianego dramatu zamyślił się nad sytuacją kobiety, tak pospolitą w czasach wielkiej wojny, gdy wypadki wyrwą z jej życia na szereg lat męża, z którym była zespoliła swoją istność: co się dzieje wtedy z jej miłością, działającą w próżni? W wypadku przez Erbena pokazanym Agnieszka Udyńska realizuje uczucie po literacku w pamiętniku. Tem gorzej. Egzaltowana kobieta potęguje napięcie marzeń przez dociąganie ich do wyżyny literackiej.

Znamy to zjawisko psychiczne i z dziedziny ethosu. I myśmy tak, jak Agne, stali setkę lat wpatrzeni w drogę, skąd miała przyjść do nas wielka chwila. Ładowaliśmy napięcie marzeń w literaturę i według niej konfrontowaliśmy już potem stany duszy, nie według rzeczywistości. Ale to nawias.

Gdy Agne zobaczyła wreszcie po siedmiu latach męża, ledwo go poznała, taki był niepodobny do tego, co wymarzyła w pamiętniku. Ręce, które tyle czasu wyciągały się do widma, teraz opadły niezdolne do uścisku, jakby przybył ktoś obcy. A kiedy wreszcie, podnieciwszy zmysły, składa mężowi u nóg siedem lat swojej tęsknoty, dowiaduje się, że mąż w czasie rozłąki komponował swoje życie realnie, rąk do niej nie wyciągał, bo złączył się z inną kobietą, a teraz nawet wyznaje żonie nawiasem: — „Myślałem że cię zastanę z kim innym“... Daremne są wysiłki z obu stron, aby napowrót skleić komórkę i przywrócić jej życie. Zatruło je marzenie. Kobieta się rzuca, aby ratować się od rzeczywistości, czepia się uśmiechu zalotników i widzi, że coraz głębiej zapada, pociągając do katastrofy i męża. Mężczyzna rozwiązuje dramat czynnie, kończy samobójstwem; kobieta staje z powrotem pod swoim domem, skazana na bierne wpatrywanie się w drogę, czy nie wróci szczęście, które odeszło.

W koncepcji swojej Erben wypowiedział się jako poeta, który widzi melancholję praw życia, który zwłaszcza widzi dramat kobiety, różną przybierający postać i różną miarę natężenia. Chciał ten dramat pokazać na całej skali typów duchowych od Marynki służącej, napół zwierzątka, aż do kobiety z kulturą, egzaltowanej, umiejącej uświadamiać sobie uczucia.

Każda z kobiet Erbena — a wprowadził ich umyślnie cztery—cierpi na marzenie po swojemu: jedna z nich (Klara) nie wie, dlaczego jest żoną tego pana, pragnęła bowiem być kochaną przez kogo innego; narzeczonej (Marylce) ukochany wymyka się z rąk; służącę porzuca kochanek bez słowa pożegnania. Nikomu z mężczyzn dusza kobiety nie jest potrzebna. Melancholja niezgranej z marzeniem rzeczywistości jest tłem dramatu Erbena, melancholja, którą zrozumieć można w całej pełni, patrząc na zakwefione kobiety Wschodu, może marzące, ale nie tworzące czynnie swej doli.

Takie zapewne zagadnienie pragnął Erben rozwiązać. Czy zdołał należycie swoją myśl uwydatnić? Czy mu starczyło środków? Nie trudno spostrzec, że nie jest jeszcze w sztuce doświadczony, że nie umiał figur w swoją myśl wtajemniczyć, że węzeł mu się rozłaził, nie skupiał od początku figur drugoplanowych i t. p. Coprawda zrobił, co mógł, żeby sobie utrudnić zadanie, obierając

teren akcji w odosobnionym domu, w którym niełatwo ruch kilku par umotywować. Wszystko to można stwierdzić, ale na główne dla krytyka pytanie, co wart sam autor, trzeba odpowiedzieć dla niego pochlebnie. Dał z siebie na początek wiele. Postać główną Agnieszki Udyńskiej dobrze wyrysowaną i bogato uposażoną, trzeba uznać za poważne studjum. Trudno przesądzać czyjąś przyszłość, ale to pewna, że Erben ma z czego wyrastać: dusza ludzka go interesuje i siebie samego chce traktować serjo.

Fundacja konkursu wywiązała się z zobowiązań względem autora lojalnie i hojnie, wystawiając sztukę w dobrej obsadzie. Duże trzy role Agnieszki (Agne), jej męża i repatrjanta powierzono doskonałym artystom: pp. Dulębiance, Jaraczowi i Węgrzynowi. Nie schodząca prawie ze sceny artystka w roli Agne wykonała zadanie trudne w sposób, przynoszący chlubę jej talentowi.

Niemały uszczerbek sztuce, a zwłaszcza swojej powadze zrobił teatr Narodowy, godząc się na dekoracje p. Świdwińskiego. Niewiadomo z jakiej racji osadzono sztukę realistyczną, polską, nawet zlokalizowaną geograficznie, w jakichś hieratycznych, modernistycznie stylizowanych dekoracjach. Publiczność syknęła z bólu na widok drzew, skarykaturowanych w żydowskim prymitywie, drwiących z polskiego pejzażu i tradycji polskiego pendzla. Istnieje prąd takiej algebry artystycznej, abstrahowanej od prawdy lokalnej i narodowego stylu, denacjonalizującej sztukę. Ale teatr Narodowy powinien być oszczędzony: niech to będzie rezerwat polskiej sztuki.

Warszawa nie powinna być skazywana przez Polaków na los modern-hotelu dla przejezdnych. Takie dekoracje odpowiadają smakowi „rajzenderów", ubliżają zaś ambicjom kultury narodowej.

Z. W.

SZTUKI PLASTYCZNE

W „ZACHĘCIE"

VLASTIMIL Hofmann jest niewątpliwie jednym z najbardziej polskich malarzy Polski współczesnej. Nie dlatego, aby był zdolny do ujęcia (jak to pięknie określa K. Szymanowski w swem studjum o Chopinie) „ponaddziejowego niejako, najgłębszego wyrazu swej rasy"—ten przywilej dany bywa twórcom bardzo nielicznym, wyjątkowym. Polskość dzieła malarskiego Vlastimila Hofmanna polega przedewszystkiem na tem, że wyrasta ono z własnej naszej, polskiej tradycji malarskiej, kształtowane było na własnych, polskich wzorach, w środowisku krakowskiem, niezależnie od szerzących się „zagranicą" prądów artystycznych, snobistycznych teoryjek i mody. Czyż mógłby istnieć dorobek artystyczny Vlastimila Hofmanna bez poprzedniej twórczości Wyspiańskiego, Mehoffera, a przedewszystkiem Jacka Malczewskiego?

Wśród wystawionych obecnie w „Zachęcie" 71 prac Vl. Hofmanna wiele znaleźć można malowanych pośpiesznie, jakby na obstalunek. Ale są wśród nich dzieła naprawdę szlachetne i szczere, jak np. „Pod urokiem pieśni", obraz dobrze skomponowany i namalowany, piękny, rzewnem przepojony uczuciem. Oryginalny w pomyśle, pełen wyrazu jest również niewielkich rozmiarów owalny profil „Madonny".

Piękny zbiór akwarel, portretów i pejzażów, zaprezentował młody, mało jeszcze znany malarz, Marjan Ruzamski. Znakomite już opanowanie techniki obok pewnego chłodu (a może tylko daleko posuniętej powściągliwości) — oto cechy tego utalentowanego, poważnie sztukę swą traktującego artysty.

Nie jest również pozbawiona pewnych zalet serja widoków Pragi, malowanych przez Ignacego Pinkasa, chociaż niezwykły urok stolicy Czech odtwarza w sposób zgoła niedostateczny i powierzchowny. Autor przytem potraktował swe zadanie zbyt formalistycznie, malując widoki, potrzebne może (dla całości) w serjach pocztówek lub ilustrowanych wodnikach, ale zbędne całkiem, gdy chodzi o pokazanie istotnego piękna Pragi (np. *Vaclavske Namesti).*

P. Szczęsny Rutkowski dał kilka zbyt sztucznie prymitywnych, choć zdradzających talent kolorystyczny kompozycyj na tematy legendarno-historyczne, p. Stanisław Niesiołowski—kilka starannie namalowanych portretów.

O pracach T. Niemiry i o „Wystawie bieżącej" nie wiele da się powiedzieć. W projektach dzwonów, wystawionych p. Al. Borawskiego niczego, prócz szlachetnego zamiaru, pochwalić nie można.

K. L.

NA MARGINESIE

W „Nowym Kurjerze Polskim" (nr. 81) p. Wassercug pozwala sobie na nieprzyzwoite w treści i tonie ironiczne uwagi na temat ostatniego Listu Pasterskiego biskupów polskich. Wyrwawszy z Listu Pasterskiego zdanie o „Królestwie Bożem i Królestwie Szatana" wbrew tekstowi, usiłuje insynuować, że „mamy tu do czynienia z poglądem dualistycznym, który rządy nad światem przypisuje dwom potęgom. Przypomina się Ormuzd i Aryman".

Nawet Żydzi z „Nowego Kurjera Polskiego" muszą chyba znać religję katolicką na tyle, aby wiedzieć, że nie jest ona bynajmniej poglądem „dualistycznym", że jest oparta na wierze w rządy Jednego Boga, a nie „dwóch potęg". Szatan — w myśl nauki katolickiej — podległy jest, jak cały wogóle świat stworzony, Wszechmocy Bożej, a uznawanie go, jako równorzędnej Bogu potęgi, jest herezją i bluźnierstwem. Może pogląd taki odpowiadać jakiejś sekcie czcicieli Bafometa, ale szerzenie go, jako nauki... Episkopatu jest, doprawdy, szczytem zuchwalstwa.

P. Wassercug w sposób wyjątkowo niesmaczny podkpiwa z „olbrzymiego znaczenia" jakie list Pasterski nadaje „niemoralnym tańcom nowoczesnym i niemoralnym strojom", zaznaczając figlarnie, że jeśli chodzi o upadek moralności, „to przychodzą jednak na myśl inne jeszcze przyczyny natury społecznej, nie mające wiele wspólnego ani z długością sukni kobiecej, ani też z innym, niż dawniej, rytmem w tańcu". Przemyślny p. Wassercug, przemyślnie przypuszcza, że biskupom chodzi tu właśnie o... rytm...

Co to wszystko znaczy? Jak wogóle do tego dochodzi, że p. Wassercug na te tematy ośmiela się rozpoczynać dyskusję? Pisaliśmy przed dwoma tygodniami: „Jeżeli jest prawdą, co powiadają, że p. Skrzyński z funduszów dyspozycyjnych utrzymuje ten dziennik p. Grosterna i Wassercuga, to trzeba przyznać, że mamy dużo pieniędzy w skarbie"... Istotnie, warto raz wreszcie ustalić, skąd w Polsce dzisiejszej biorą się pieniądze na poparcie tego rodzaju propagandy i jakie czynniki za propagandę tę ponoszą odpowiedzialność...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Płomieńskiemu J. Eug. w Katowicach. Gniewa się Pan na recenzję „Myśli Narodowej" (nr 6) z pańskiej broszury „Problem pracy w Przepióreczce Żeromskiego". Gdy broszura wywoła niepochlebną recenzję, to niekoniecznie wynika z tego wniosek, że autor recenzji jest „słabszym umysłem" od autora broszury. Zwykle tak wnioskuje dotknięty krytyką autor, ale nie zawsze znajdzie pismo, które mu pozwoli ten wniosek ogłosić, jako pewnik. Kładzie pan nacisk na anonimowość krytyki. Radzimy panu za autora niepodpisanych artykułów uważać zawsze redaktora pisma. Na dobrą sprawę — czy pan nie jest anonimem, pomimo, że się pan podpisuje? Głównym tenorem wzmianki naszej było to, że pan nie umie myśleć. A pan chce, żeby krytyk uwierzył w to, co pan złego o nim myśli. Pan nie wie nawet, co się do pana mówi, i co pan sam pisze. Damy przykład. Na zarzut werbalizmu odpowiada pan kłótliwie: „Nie wiem, który z nas bardziej cierpi na tę brzydką chorobę. Muszę się zastrzec kategorycznie, że w pracy mojej nie ma słów niepotrzebnych"... Nie było mowy o cholerze ani o gadatliwości, lecz o werbalizmie, to znaczy o fetyszyzmie wyrazu, o tem, że pan nie myśli rzeczami, lecz, że symbol słowny uważa pan za byt realny. Cała pańska broszura i polemika są stekiem takich niezrozumień.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM